Nr. 439. (Wydanie popołudniowe). We Lwowie sobota dnia 20 września 1902 r. Rok XXXV.

Prenumerata wynosi:
we Lwowie:
miesięcznie 2 korony; — za dwurazową dostawę do domu dopłaca się 60 halerzy;
na prowincji:

z jednorazową przesyłką:		z dwurazową przesyłką:	
rocznie	30 K — h	rocznie	36 K — h
kwartalnie	7 „ 50 „	kwartalnie	9 „ — „
miesięcznie	2 „ 50 „	miesięcznie	3 „ — „

W Niemczech miesięcznie 3 M. 50 fen.
W innych krajach miesięcznie 4 Fr.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Adres: „Dziennik Polski" — Lwów, plac Marjacki l. 7. Telefon Nr. 151.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi 2 razy dziennie

Ogłoszenia.
Za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 20 halerzy.
Za jeden wiersz petitowy w rubryce Nadesłane 45 halerzy.
Drobne ogłoszenia po 3 halerze za słowo. Najmniejsze ogłoszenie 30 halerzy.
Oznajmienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po Kronice za jeden wiersz petitowy 60 halerzy.

Numer pojedynczy:

we Lwowie:		na prowincji:	
poranny	3 halerze	poranny	5 halerzy
wieczorny	8 halerzy	wieczorny	10 halerzy

Kossuth Lajos.

(1802 – 1902).

Lwów 19 września.

W słonecznej, bujnym winogradem pokrytej krainie węgierskiej, dziś wielkie święto narodowe. Wdzięczny naród obchodzi tam z czcią i miłością 100-ną rocznicę urodzin swego bohatera, który całe życie swoje oddał był na usługi jednej, jedynej idei: wywalczenia swej ojczyźnie wolności i niepodległości. Bohaterem tym, ubóstwianym przez Węgrów tak samo dziś, po jego zgonie, jak przed półwiekiem, w czasie, gdył stał u zenitu swej działalności patrjotycznej, jest oczywiście słynny dyktator z doby walki wolnościowej w r. 1849 — Ludwik Kossuth.

Potomek drobnej szlachty węgierskiej, wyposażony z natury cennym darem porywającej wymowy, niezłomnym hartem ducha, a nadewszystko nie przygasającym nigdy zapałem miłości ojczyzny i jej wolności, Ludwik Kossuth jest w całej osnowie swego życia i działalności swojej potężnem uosobieniem tego ducha rewolucji, który lat temu 54 miał zburzyć butwiejący gmach reakcyjnej Europy i na jego miejscu wznieść świątynię swobód narodowych i obywatelskich.

Lecz nadaremnie popłynęły wtedy rzeki krwi bohaterów, wolność i życie dla tej idei chętnie niosących.. Duch ucisku i bezprawia, zaposiłkowany zbrojnymi hordami białego cara Północy, zgniótł „buntownicze" zastępy szermierzy wolności.. Mimo to, imię Kossutha Lajosa, — które w onych czasach trwogą śmiertelną przejmowało potentatów miecza i knuta, — naród węgierski zapisał głęboko w swem sercu i ono po wiek wieków świeci dlań słońcem najczystszych, najwznioślejszych haseł i ideałów patrjotycznych!

My Polacy, którzyśmy dla wolności tych Węgier, własną krwią serdeczną użyźnili ich piękną ziemię, a którzy niestety w dobie współczesnej nie zawsze zbieramy owoce wdzięczności ze strony rządzących dziś tym narodem dzielnym i rycerskim, żywiołów niewęgierskich — my ochoczo przyłączamy się do hołdów, pamięci wielkiego tego patrjoty w tę setną rocznicę składanych przez Węgry całe!

I dla n[illegible] jego jest równoznacznikiem [illegible] o najwyższe dobro człowieczeństwa — o wolność — i nam, acz wśród roju smutnych nieraz i bolesnych wspomnień — Kossuth Lajos przywodzi na myśl czasy, kiedy to zdawało się ojcom naszym, że zorza wolności zapaliła nad Europą swe urocze, tęczowe światło, że z ludów starego kontynentu, jęczących pod obuchem absolutyzmu, opadną wreszcie kajdany niewolnictwa...

Ojcowie nasi, spieszący wtedy z Bemem, Dembińskim i Wysockim w szeregi węgierskie, mylili się... Ta zorza wolności zgasła zbyt rychło, pogrążając i Węgrów i nas na długie lata w otchłani ciemności, w bezdennej zda się toni mąk i katuszy.

Lecz Węgrom Opatrzność snać skróciła czas niewoli. W lat 18 po brutalnem zdławieniu ich rozpaczliwych zakusów o niepodległość, osiągnęli jednak wszystko prawie, co było marzeniem Kossutha i podobnych doń patrjotów węgierskich. A my? — „rok po roku marnie leci..."

Prawda, że Węgrzy mieli po Koszucie — Deaka, którego jednak doczekać się nam dziwnie trudno..

Z kim godzić się i o co?

Lwow 19 września.

Nietrudno domyśleć się, co spowodowało półurzędowy dziennik węgierski — *Pester Lloyd* — do tego, że z okazji strejku rolnego w naszym kraju, nagle tak żywo zainteresował się wewnętrznymi stosunkami Galicji, iż począł nawet szukać sposobów i rad, któreby mogły usunąć „kłopoty" Polaków... Nietrudno domyśleć się, dlaczego nieproszony, a dziwnie życzliwy doradca, jako jedyny środek. zaproponował — ugodę polsko-ruską... W chwili, kiedy Węgrom bardzo na tem zależy, iżby w Austrji utrzymać wrzenie, a przy obradach nad odnowieniem ugody austrjacko-węgierskiej głos Koła polskiego cokolwiek osłabić, wydało się *Pester Lloydowi* bardzo pożądanem, rzucić pomiędzy rząd austrjacki, a Galicję hasło, które może do chaosu spraw monarchji i do naszego kraju wprowadzić, obok sporu czesko-niemieckiego i tylu innych, nową kwestję i rozdmuchać ją tak, iżby zajęła przedewszystkiem i może osłabiła chwilowo na zewnątrz stanowisko Polaków.

Nietrudno więc domyśleć się powodów, dla których węgierski półurzędowiec wystąpił nagle w charakterze *boni viri.* Trudno natomiast pojąć, jakim sposobem na ten, tak widoczny, lep intrygi dają się brać nawet poważne organa opinji polskiej i pochwyciwszy podsunięte im zręcznie hasło, poprostu suggestjonują, to rząd, to własne stronnictwo, do wytoczenia kwestji „ugody" z Rusinami. Sprawa ugody czesko-niemieckiej, zajmująca umysły polityków austrjackich od lat tak wielu, jest w tym wypadku niewątpliwie przyczyną, która każe niektórym politykom naszym szukać analogji i nie pozwala im widzieć kardynalnej różnicy pomiędzy sporem w Czechach, a stanem rzeczy w Galicji.

W Czechach o prawa polityczne i narodowe walczą dwa kulturne narody. A u nas?

Z kim się układać? Z kim godzić? Czy wprost z ludem ruskim, z ową masą ciemnych chłopów, którzy zgoła nie odczuwają żadnych potrzeb polityczno-narodowych, a mają tylko jedno hasło: *lisy i pasowyska?* Czy wdrażać ugodę z tym zastępem inteligencji, która narzuca się na czoło owej nieuświadomionej masy i uzurpuje sobie, że jest przedstawicielką pełnomocną „narodu"? Ale w tym ostatnim wypadku, z którym „narodem" wszczynać układy? Mamy bowiem, jak wiadomo, aż trzy w tym zastępie odrębne pojęciem narodowościowem „narody", a nadto jeszcze pewną grupę „beznarodową". Są bowiem „Rusini", są „Ukraińcy", są „Russcy", czyli Rosjanie, a nareszcie istnieje frakcja bez religji i bez narodowości — socjalistyczni radykali. I nie są to bynajmniej odłamy lub stronnictwa! Nie, każda z tych grup — z wyjątkiem ostatniej — uznaje w sobie inną narodowość, inne prawa polityczne, ma inne dążenia i interesy prawno-państwowe. Pertraktować z konserwatywnymi „Rusinami", to znaczy działać na niekorzyść narodu „Ukraińców" i narodu „Rosjan" — i na odwrot. To czego pragną jedni „narodowcy", jest narodową i polityczną zgubą innych; tam, gdzie do ugody stanie jeden, nie przyłączą się drudzy i nie da się przypuścić, iżby tą drogą można osiągnąć spokój powszechny.

Ale nasuwa się jeszcze pytanie drugie: co ma być przedmiotem ugody?

Jeden z tych „narodów" rusko ukraińsko-rosyjskich żąda podziału Galicji na dwa kraje, inny — wyrzucenia za San wszystkich Polaków, zamieszkałych w powiatach wschodnich, jeszcze inny znowu woła, aby Polacy oddali mu długą pracą zdobyte przez siebie zakłady naukowe, aby nie przeciwdziałali ruszczeniu polskiego chłopa i mieszczanina przez zakładanie na wschodzie stowarzyszeń polskich i przez budowę kościołów rzymsko-katolickich... Czy te postulaty mogą być przedmiotem jakiejkolwiek, trzeźwej dyskusji, czy, co do podobnych żądań, może nastąpić — „ugoda"?

„Narody" — bo pamiętajmy zawsze, że jest ich trzy — żalą się na ucisk i nadużycia władz administracyjnych, ale taka kwestja nie należy wszakże do zakresu ugody! Gdyby istotnie działy się nadużycia, to ugoda ich nie usunie, a jedyną radą jest poszukiwanie zadośćuczynienia na drodze prawnej. Ugoda nie może dotyczyć poszczególnych wypadków administracyjnych czy nadużyć, ale — stanowiska zasadniczego i ukształtowania wzajemnego stosunku stron do zakwestjonowanej zasady i praw, a pod tym względem konstytucja i ustawy krajowe zapewniają „narodom" wschodniej Galicji to samo, co Polakom.

Niechaj więc półurzędowiec węgierski, nieświadomy — może rozmyślnie — właściwego charakteru wrzenia i agitacyj w Galicji wschodniej, prawi o ugodzie i pertraktacjach, — my wiemy jedno: że w danym wypadku nie ma tego, z kim i o co godzićby się można.

Francuzi w Alzacji i Lotaryngji.

Nacjonalista Lepelletier spowiada się w *Echo de Paris* ze swoich wrażeń z podróży po niemieckiej Alzacji i Lotaryngji i stwierdza z ubolewaniem, że dzielnice te są dla Francji stracone na zawsze. „W Metzu, powiada autor, istniało przez długi czas stronnictwo protestujące. Dziś już go nie ma. Zapewne nie wygasła jeszcze w sercach wielu mieszkańców Metzu pamięć Francji. Patrjoci z uczucia i tradycji, którzy ubolewają nad przeszłością i marzą o lepszej przyszłości, są w Metzu i całym kraju jeszcze dość liczni, ale nie występują oni energicznie. Przyzwyczajenie, pogodzenie się z faktem dokonanym, poddawanie się prawom, przepisom i podatkom, które nie są uciążliwsze, niż gdzieindziej: wszystko to stłumiło ducha protestu. Nikt już nie wybiera kandydatów protestujących; żaden z członków rady miejskiej nie zdobył się na odwagę stawienia swojej kandydatury, dla zaznaczenia oporu przeciw zaborowi, dla obrony praw zwyciężonego narodu. Żaden komitet, żaden kandydat nieośmielił się przypomnieć warunku o zatwierdzeniu zaboru przez ludność pogwałconą. Na taki plebiscyt dziś też zapóźno, bo połowa dawnych mieszkańców opuściła już kraj i została zastąpiona przez Niemców. A nietylko imigranci stanowią większość, ale i między synami Francuzów w Metzu jest wielu takich, którzy zerwali zupełnie swoje związki z Francją, bo rodziny ich rozproszyły się, stosunki ich zmieniły się po wojnie, język ojczysty im już nieznany; są oni obojętni na losy kraju, który jest już dla nich obcym. Wszyscy ci głosowaliby z przekonania na kandydatów niemieckich. Przywiązanych do Francji można znaleźć tylko jeszcze wśród mieszczaństwa katolickiego w Metzu."

Wojna domowa na Haiti.

Krwawa wojna domowa, która wre na Haiti, wyrządzając olbrzymie szkody tej bogatej rzeczypospolitej murzyńskiej, stała się głośną w ostatnich dniach, wskutek zatopienia przez niemiecki statek „Pantera", statku powstańców haityjskich „Crête à Pierot". Powód do tej wojny dało postępowanie dotychczasowego prezydenta tej rzeczypospolitej, Szymona Sama. Prezydentura jego upływała dnia 15 maja b. r. Sam, dawniejszy minister wojny, był następcą otrutego dnia 27 marca 1896 r., prezydenta Hyppolite'a. Dorobiwszy się na prezydenturze mająteczku w okrągłej sumie 12 miljonów fr., postanowił nie osierocać tak intratnego stanowiska, dopóki się da i wystąpił w grudniu 1901 r. z oświadczeniem, że okresu tymczasowych rządów swoich od dnia 31 marca do 15 maja 1896 r., nie może uważać za wchodzący w rachubę legalnego czasu prezydentury i dlatego zatrzymuje swój urząd do dnia 15 maja 1903 r. Mieszkańcy czarnej rzeczypospolitej nie chcieli o tem słyszeć. Wobec ogólnej opozycji Sam wolał cofnąć się w porę i już dnia 9 maja br. oświadczył, że ustępuje, na następcę swojego wszakże zalecił swego szwagra, Maksyma Montplaisira.

Propozycja podobna była bezprawiem; lud rozpędził oddany Samowi parlament, który dnia 12 maja zebrał się celem wyboru Montplaisira. Sam nazajutrz uciekł do Francji.

Utworzył się teraz rząd tymczasowy, pod przewodnictwem Boisranda Canala. Jednocześnie pojawiło się aż pięć kandydatur do prezydentury: w ich liczbie Firmin, były poseł rzeczypospolitej w Paryżu i komendant wojska haitijskiego, gen. Alexis Nord.

Rząd tymczasowy rozpisał wybory do izby deputowanych. Wybory odbyły się wśród terroryzmu stronnictw, fałszujących haniebnie wyraz woli powszechnej. W Cap Haitien, gdzie dowodził Nord, dopuszczono jego tylko żołnierzy i zwolenników do urny wyborczej. Firmin prosił „admirała" Killika, który znajdował się wówczas na pokładzie „Crête à Pierot" w Kap Haitien, o pomoc; Killik oznajmił Nordowi, że wolności wyborów bronić będzie w razie potrzeby orężem. Wysadził też na ląd 290 marynarzy z trzema działami i zajął pozycje przed domem Firmina.

Dnia 28 i 29 czerwca, podczas głosowania wyborczego przyszło do gwałtownej walki ulicznej. Około 60 ludzi zginęło, ostatecznie Firmin i Killik musieli się cofnąć. Gen. Nord ogłosił Killika za rokoszanina, banitę; rząd tymczasowy zaś odebrał mu komendę floty narodowej. Ponieważ Killik znajdował się w posiadaniu jedynego obecnie haitijskiego okrętu „Crête à Pierot", nie zważał na swoją destytucję i przyjął walkę z przeciwnikami.

Obecnie skończyła się krótka jego chwała, gdyż wraz ze statkiem zginął w nurtach oceanu.

Trucizny.

(*Trucizny w środkach spożywczych. — Cukier, kawa, herbata, tytoń. — Kwas mleczny. — Trucizny psychiczne*).

Ktokolwiek przegląda i czyta rozmaite czasopisma naukowe obecnej doby, może łatwo nabrać przekonania, iż żyjemy w epoce formalnego zda się rozwoju trucizn... Niemal codzień odkrywają chemicy nowe trucizny, wynachodzą je w sokach roślinnych lub zwierzęcych, stwierdzają, że chorobotwórcza działalność bakteryj polega na truciznach, przez nie wyprodukowywanych. Wiemy też dzisiaj, że sam organizm ludzki wytwarza trucizny które wśród pewnych okoliczności mogą być dlań bardzo szkodliwe.

Więc też niejeden słysząc o tem, zapyta może: po co właściwie przyroda stworzyła wogóle trucizny? Częściowo można na to pytanie odpowiedzieć. Pewna ilość stworzeń żyjących produkuje trucizny dla samoobrony, lub aby z ich pomocą ofiary swoje ubezwładniać względnie mordować. Są one tedy dla nich ważną bronią w walce o byt podobnie jak dla ssaków potężne ich łapy, albo szczęki z ostrymi zębami. Wobec jednak wielkiego mnóstwa trucizn nam znanych, tamte są znikomie małym ułamkiem. Dla reszty zaś trucizn nie podobna określić jakiegoś ich przeznaczenia. I tnieją na świecie bezcelowo. Wszechwładne prawa przyrody rozkazują różnym materjom, jeśli one spotkają się ze sobą wśród pomyślnych warunków, oddziaływać wzajemnie na siebie i wówczas powstają bez wyboru, bez celu, nowe substancje. Dopiero organizm nasz, gdy z temi ostatniemi się zetknie, ma rozstrzygnąć, czy one są dlań pożyteczne i pracy jego pomocne, czy też szkodliwe, w pracy tej przeszkadzają, albo nawet zupełnie ją uniemożebniają. Otóż takie właśnie substancje są dla nas truciznami.

Najnowsze badania okazują wszelakoż, że niemal każda materja może trująco działać, że nietylko te zasługują na miano trucizn, które nabywać można w aptekach — tylko za receptą lekarską — a gdzie bywają przechowywane w słoikach z trupią główką na etykietce... Wszystkie nasze środki spożywcze, a w wyższym jeszcze stopniu pożywcze, mogą w danym razie, jako trucizny, organizmowi naszemu w jego ogólnej pracy przeszkadzać i szkodzić. Każde nasze pożywienie jednostronne uważać można poniekąd za truciznę.

Kto odżywia się przeważnie mięsem, przynosi szkodę swemu organizmowi i zwolna powoduje stan tegoż, w którym on dalej już pracować nie może. Na odwrot, nie mają słuszności ci wszyscy, którzy zabraniają jedzenia mięsa i zalecają tylko pożywienie mączne i jarzynowe, owoce itd. — słowem wegetarjanizm. Prof. dr. Baelz z Tokio, który od szeregu lat zbierał doświadczenia i spostrzeżenia w Japonji, tej — z przymusu — klasycznej ziemi wegetarjanizmu, znaczna bowiem część tamtejszej ludności nie dla zasady, lecz z braku mięsa, hołdują wegetarjanizmowi, otóż dr. Baelz twierdzi, że dla ludzi, oddanych prostej, fizycznej pracy, pożywienie wegetarjańskie zupełnie wystarcza. Natomiast dla ludzi, pracujących umysłowo, ono wcale nie wystarcza.

Znany fizjolog Bunge wyraża się znów, iż mięso jest jakby smarowidłem, tak samo niezbędnem dla ciała ludzkiego, jak dla każdej maszyny, której funkcjonowanie bez niego nie może być prawidłowe. Przybywa jednak tutaj — zdaniem Baelza — jeszcze jeden ważny moment. My, Europejczycy, jesteśmy do mięszanego pożywienia przyzwyczajeni, to też nie wielu tylko znosi pokarm jednostronny, jednogatunkowy. Oczywiście są i w tej mierze wyjątki. Każda część naszej wielkiej pstrokacizny pokarmowej, którą codzień spożywamy, ma swoje przeznaczenie i nie da się tak bez przyczyny usunąć ze spisu powszednich potraw naszych. Wszelakoż zbyt wielka ilość jednego środka spożywczego może tak samo szkodliwie działać, jak brak zupełny innego. N. p. cukier jest dla nas bardzo ważny i odgrywa w procesie życiowym naszego organizmu nader wielką rolę, lecz zbytnia konsumcja czystego cukru jest dla człowieka szkodliwą, ponieważ skutkiem niego organizm nie może już przyjmować innych, dla się potrzebnych substancyj. Jest już nim nasycony. A czystemu cukrowi brak ponadto ważnych dla nas soli i żelaza. Dlatego też doradza Bunge, aby czysty cukier spożywać w małej ilości natomiast owoce i jarzyny w każdej formie.

Ostateczności stykają się zawsze, a prawdziwość tej sentencji widać także przy szkodliwych ciału naszemu substancjach. Brak ważnych środków spożywczych wywołuje ciężkie zaburzenia w organizmie — natomiast inne znów, jak np. środki podniecające, kawa, herbata, tytoń, używane w nadmiernej ilości, przynoszą nam nieobliczalne szkody. Mają one ważną funkcję podniecania nas, ułatwiania nam przebiegu rozmaitych zdarzeń życiowych. Otóż dla ludzi, przyzwyczajonych do używania takiej podniety, zrzeczenie się jej zupełne powoduje utrudnienie pracy w organizmie — przeciwnie nadmierne jej stosowanie sprowadza ciężkie objawy zatrucia, skutkiem których najczęściej cały system nerwowy srodze cierpi.

Określenie „trucizna" nie jest przeto pojęciem ustalonem. Każda materja może działać trująco — odpowiednio do roli, jaką ma w organizmie odegrać. Widzimy to również z faktu, że ciała, wytworzone w organizmie ludzkim, mogą także trująco działać. Raz mogą niektóre materje przez to być nam szkodliwe, iż wytwarzają się w nas w zbyt wielkiej ilości; innym razem znów przez to, że ich tam za mało produkujemy. Błędnym jest pogląd, że przy zmianach i reakcjach chemicznych w ciele ludzkiem, powstają takie jeno materje, które nam nie szkodzą. Przeciwnie, powstają tam szeregi trucizn, które mogą utracić swoją cechę zjadliwą tylko przez szybkie ich usunięcie z naszego wnętrza, lub przez to, że się wiążą tam z innemi substancjami i dają bez porównania mniej szkodliwe już połączenia. Tak np. przy pracy mięśni — wśród chodzenia lub pracy rąk — powstaje w nich kwas mleczny, który powinien być stamtąd jak najrychlej usunięty, jeśli nie ma hamować, a nawet zupełnie udaremnić ich działalności. Mylnem przeto jest zapatrywanie wielu laików, że lekarstwa, zapisywane przez doktora, zatruwają organizm. Nasz organizm bowiem wyprodukowuje trucizny, które trzeba koniecznie usunąć z niego. Jeżeli zaś on sam nie jest w stanie tego uczynić, to muszą mu być dostarczane materje, ku temu celowi służące. Pewna substancja, w większej ilości trująca, wśród danych warunków i w małej dawce zastosowana, przynosi organizmowi znaczny pożytek.

Na koniec nie podobna przemilczeć o wielkiej grupie trucizn, nie zaliczanych przez chemię do rzędu tych substancyj. Są to tzw. trucizny psychiczne — ani alkohol, ani nikotyna — pewne zaburzenia duchowe, organizmo-

---

(55)

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

Wrzos

POWIEŚĆ.

Prezes spotkał ją na schodach, zmieniony na twarzy, zdyszany z pośpiechu.

— Chciałem cię szukać. Depesza od Andrzeja! — mówił urywanym głosem, wracając z nią na górę.

— Wraca? — spytała krótko.

— Gdzież tam! Chory leży w Hamburgu. Nie mam pojęcia co robić! Awantura.

— Trzeba spytać, co mu jest i co mu potrzeba — odparła spokojnie, biorąc do rąk depeszę. No, groźnego nic nie ma: „Zatrzymany niezdrowiem".

— Możemy pojechać tam! — bąknął stary. Niezdrowie to podejrzane, a może miał pojedynek, jest ranny? Głowę tracę, ten człowiek do grobu mnie wpędzi!

— Przedewszystkiem wysłać depeszę z zapytaniem. Niech tatko pisze, zaraz Józefa poszlę.

— Pójdę sam, bo mam po drodze interes. Ojciec twój zaraz będzie na obiedzie. Zaczekajcie na mnie.

Kazia zajęła się domem i obiadem i swobodnie powitała ojca, ale Szpanowski chmurny był i zatrzymał ją, kładąc rękę na głowie i badawczo patrząc w oczy.

— Słuchajno, co się to u was dzieje?

— Co takiego?

— Ty coś przedemną ukrywasz. Gdzie Andrzej?

— Za granicą. Dziś była depesza, że się parę dni opóźni, bo niezdrów. Czy ojcu tak pilno go ujrzeć? — zaśmiała się.

Szpanowski usiadł ciężko w fotelu i milczał długą chwilę.

— Wiesz, że babcia Bogucka zapisała ci w testamencie swój folwarczek, jeśli Stach nie żyje. Trzeba podać ogłoszenie we wszystkich pismach, może wreszcie jaka wieść o nim będzie. Człowiek nie może tak zginąć. Tymczasem będę tą ziemią zarządzać dla niego.

Nic nie odpowiedziała, a on po chwili znowu zaczął:

— Żebym mógł był przyszłość przewidzieć zeszłej wiosny. Pocom ja cię tu dał? To nie dla ciebie świat i ludzie, a tam bez ciebie, jakże mi pusto!

— Zabierze mnie tatuś może znowu!

— Wróciłabyś?

— O Boże! — choć dzisiaj! — wyrwało jej się nieopatrznie.

Podniósł oczy.

— Widzisz, żem ci szczęścia nie dał.

Obejrzała się.

— Nie. Tak źle mi nie jest. Jeszcze mi za wsią tęskno, jeszczem się tu nie zżyła, ale to przyjdzie z czasem. Owszem, dobrze mi, przywyknę! Tatuś tu zostanie czas jakiś. Myślę, że możeby lepiej było Zosię tu sprowadzić. Matce byłoby to miłe i o dziecko bylibyśmy wszyscy spokojniejsi.

Mówiła prędko, żywo, chcąc go zająć czemś innem, skierować na inny tor rozmowę.

— Muszę zostać! — rzekł ponuro Szpanowski. Nie mam żadnej dobrej nadziei, wiem, że wrócę z trumną. Dziecko warto sprowadzić, ale jak?

— Poślę po nie pewną porządną kobietę, którą znam i mogę zaufać. We dwie z boną dadzą radę.

— Dziękuję ci. Ja bo jestem odurzony tem wszystkiem. Słońca nie wielem miał w życiu, ale teraz listopadowe niebo mam w duszy. Ano trudno, praca została na pociechę.

Otrząsnął się siłą woli z apatji, wyprostował się i począł rozpytywać o fabrykę w Grodzisku, o stosunki, o jej życie. Na tem ich zastał prezes i z rozczuleniem spojrzał na Kazię.

— Mówię ci, jakem po niej tesknił przez te dwa tygodnie, to było nie do wytrzymania.

— Czuję kadzidło i zmykam! — rzekła z uśmiechem, wychodząc do jadalni.

— Józefie, ktoś dzwoni. Powiesz, że obiad! — rzuciła do lokaja.

Ale służący wrócił po chwili i rzekł:

— To pan Radlicz. Jest w gabinecie pana i prosi, żeby pani raczyła go przyjąć.

Rzuciła głową, zawahała się, wreszcie wyszła.

Radlicz czekał z kapeluszem w ręku.

— Otrzymałem depeszę od Andrzeja. Wzywa mnie do siebie natychmiast — rzekł z cicha.

— Więc co? — spytała zimno.

— Chciałem panią uspokoić, że nic strasznego i spytać, czy powiedzieć prezesowi. Miał pojedynek i ranny.

— Naturalnie, powinien pan ojcu powiedzieć. Przecie jutro będą o tem wiedziały wszystkie gazety.

— Nie odemnie, może pani być pewną.

Popatrzała na niego.

— Pewną nie jestem. Zresztą może! Może pan ma dość tego, w coś mnie zaplątał.

— Ja? Panią?

— Ano, sprawa z obrazem, plotki, żem pozowała panu, historje z Kołockim.

— Że panią kocham, wie pani; że mi nie potrzeba patrzeć na panią, by mieć ją zawsze przed oczami, wiem ja, a sprawa z Kołockim — jaka? — że on chce kupić coś, czego nie mam na sprzedaż. Widziała pani obraz?

— Nie, mam dość słuchania o nim.

— Niech pani go zobaczy. Pozować do takiego tematu mogą nawet Westalki. Zresztą nikt na świecie, nawet pani, nie może mi zabronić kochać.

Zmarszczyła brwi.

— Mówił już mi to pan i otrzymał odpowiedź. Czy mam powtórzyć?

— Nie — pamiętam i dziękuję pani. Miłość z wzajemnością kończy się przesytem, a taka, jak moja dla pani, jest natchnieniem. Owszem, bardzom pani wdzięczny za odprawę. Nigdym tak dobrze nie pracował.

Mówił swobodnie. lekko.

— Nawet gdybym usłyszał od pani dobre słowo, miałbym zawód. Popsułby się ideał, jakby mi kto alpejskie szarotki podał na jarzynę. Wracając do rzeczy, jadę tedy do Hamburga i przywiozę pani sakramentalną własność i urzędową miłość. W salonie ktoś jest, wolę tutaj rozmówić się z prezesem.

— Zaraz go tu przyszlę. Żegnam pana.

Skłonił się sztywnie. Spojrzała nań i rzekła:

— Niech pan ten obraz z wystawy usunie. Chcę wierzyć, że pan się na mnie w ten sposób mścić nie chce. Nie o mnie już tu chodzi, plotka już poszła, ale ojciec mój nic nie wie jeszcze!

Skłonił się znowu w milczeniu.

* * *

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

---

wi ludzkiemu nieslychanie szkodliwe... W naszych czasach jedną z najbardziej rozpowszechnionych trucizn takich, jest trwoga przed truciznami.

Powstała ona dzięki rozległym badaniom bakterjologów i hygienistów, a zatruwa niestety wielu zdrowym ludziom ich egzystencję. Wszędzie i we wszystkiem upatrują dla siebie niebezpieczeństwo zakażenia, się jakimś bakcylem i najchętniej żyliby, gdyby to było możebne — pod dzwonem szklanym... Nie byłoby tak, gdyby ci Strachajłowie, zatruwający sobie i drugim życie, pamiętali, że zdrowy i silny organizm jest najpewniejszą ochroną przeciw wszelkiemu zakażeniu się!

KRONIKA.

Lwów 19 września.

Stan powietrza. Godzina 12 w południe: Ciepło — 17 R. Pogoda.

Wiadomości djecezjalne. Archidjecezja lwowska ob. łać. Rekolekcje dla kapłanów rozpoczną się w roku bieżącym w seminarjum duchownem we Lwowie pod przewodnictwem O. Bernarda Łubieńskiego, redemptorysty, w poniedziałek dnia 22 września wieczorem i zakończą się wspólną komunją św. dnia 26 września rano. Kapłani pragnący brać udział w tych św. ćwiczeniach duchownych zechcą zgłosić się do rektoratu seminarjum duchownego.

Djecezja tarnowska. Przeniesieni: ks. Jan Dulian z Kolbuszowy do katedry w Tarnowie, ks. Jan Hołda z Radgoszczy do Góry ropczyckiej, ks. Jan Jowicki z Góry ropczyckiej do Radgoszczy, ks. Jakób Oleksy z Starego Sącza do Niedźwiedzia, ks. Marceli Górzański z Niedźwiedzia do Starego Sącza, ks. Ludwik Mazur z Jakóbkowic do Wadowic górnych.

Z życia towarzyskiego. W kościele orm.-katolickim w Czerniowcach, odbędzie się dnia 4 października br., o godzinie 6 wieczorem ślub p. Antoniego Theodorowicza, właściciela Żukowa pod Obertynem z panną Anną, córką ś. p. Jana Kaprego i Heleny z Warteresiewiczów.

Tymczasowy komitet wiecu narodowego donosi nam, że dla rozpatrzenia nadsyłanych mu opinij i wniosków, wybrano komitet, do którego weszli pp.: Jan Kasprowicz, dr. Rutowski i K. Wróblewski. Drugi subkomitet ma opracować regulamin wiecowy.

Z pomiędzy osób, które dotychczas na wiec się zgłosiły, postanowiono utworzyć stały komitet wiecowy i w tym celu rozesłać zaproszenia. Posiedzenie tego komitetu odbędzie się we Lwowie 28 b. m. o godzinie 10 przedpołudniem w sali rady miejskiej. Na tem posiedzeniu nastąpi ukonstytuowanie komitetu wiecowego, oraz wybór prezydjum i wydziału wykonawczego. Z chwilą ukonstytuowania się komitetu wiecowego, ustąpi i przestanie działać komitet tymczasowy, którego zadaniem było tylko wdrożenie akcji wiecowej.

Szkoła dla analfabetów. Uroczyste otwarcie roku szkolnego w szkole dla analfabetów, utrzymywanej przez lwowskie Koło Tow. „Szkoły ludowej", odbędzie się w niedzielę 21 bm. o godzinie 3 popołudniu w budynku szkoły im. św. Antoniego. Zapisy trwają w niedzielę od godziny 12—2 popoł.; zgłaszać się można także później.

Z funduszu przemysłowego. Wydział krajowy udzielił 3% pożyczki ze stałego funduszu przemysłowego, zostającego pod zarządem Banku krajowego, fabryce maszyn rolniczych i pilników, pod firmą „Bracia Bartik" w Tarnowie, w kwocie 33 800 koron. Pożyczka ta ma być spłaconą w ratach kwartalnych, począwszy od dnia 1 stycznia 1906 r.

Lokalne kursa pożarnictwa. Według ustawy o policji ogniowej z r. 1891, obowiązującej w miastach i miasteczkach kraju naszego, każda ochotnicza straż pożarna, która przyjęła na siebie obowiązki straży pożarnej gminnej, musi mieć instruktora, utrzymywanego przez gminę, a gmina obowiązana jest dbać także o fachowe wykształcenie członków swej straży pożarnej.

Ponieważ ten ustawowy przepis nie bywa u nas wykonywany, bo od wejścia w życie ustawy o policji ogniowej, upłynęło już przeszło 10 lat, a jeszcze w 106 miastach i miasteczkach ochotnicze straże pożarne nie posiadają instruktorów i fachowego wykształcenia, przeto na wniosek krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych, wydał wydział krajowy rozporządzenie, aby gminy miejskie urządzały lokalne kursa pożarnictwa, celem wyćwiczenia swoich korpusów strażackich.

Pierwszy taki lokalny kurs pożarnictwa odbył się, wskutek energicznego zarządzenia dąbrowskiego wydziału rady powiatowej, w dniach 11, 12 i 13 września rb., z korpusem ochotniczej straży pożarnej w Dąbrowie. Przeprowadzili go instruktorowie krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych. Końcowe ćwiczenia jako popisowe, przeprowadzone z uczestnikami tego kursu w obecności p. Stanisława Różyckiego, prezesa ochotn. straży pożarnej i członka rady krajowego Związku strażackiego, dra Zaręby, burmistrza i prawie całej inteligencji miasta, wykazały, że nauczono dużo i przygotowano uczestników kursu do służby pożarnej.

Drugi lokalny kurs miał się odbyć w Żabnie, nie przyszedł jednakże do skutku, bo zwierzchność gminna w Żabnie doniosła wydziałowi powiatowemu w Dąbrowie, że członkowie ochotniczej straży pożarnej w Żabnie, udziału w tym kursie nie wezmą, z powodu wyjazdu na okoliczne jarmarki za zarobkiem. Zamiast kursu, odbyła się w Żabnie lustracja obrony pożarnej, wykazująca zaniedbanie i lekceważenie przepisów ustawowych ze strony zwierzchności gminnej.

Fizyk miejski. Akta odnoszące się do obsadzenia posady fizyka miejskiego, wakującej po śmierci ś. p. Pawlikowskiego, znajdują się już w namiestnictwie; krajowa rada sanitarna ma wydać opinję o propozycjach magistratu. Podań wpłynęło trzy; mianowicie podali się lekarze miejscy: dr. Krobicki, dr. Legeżyński i dr. Tatarczuch. Niefortunnie się złożyło, że w połowie drogi zaskoczyły sprawę ferje wakacyjne. Obecnie, gdy protomedyk dr. Merunowicz już powrócił z urlopu, można mieć nadzieję, że rzecz ta, tak doniosła dla spraw sanitarnych Lwowa, rychło będzie załatwiona i bezkrólewie fizykackie wnet się skończy.

Rekursy wodociągowe. W mieście panuje coraz większe wrzenie z powodu, że cała masa rekursów przeciwko niewłaściwemu wymiarowi podatku wodociągowego zalega w ratuszu rok cały niezałatwiona. W swoim czasie prezydent przeznaczył był sekretarza p. Ostrowskiego, do wyłącznego referowania tych rekursów. Od sierpnia wszelkie nowe rekursy wodociągowe załatwia miejskie biuro egzekucyjne. — Ale najtężsi i najpilniejsi referenci nie pomogą, jeśli referaty ich nie mogą doczekać się tej uroczystej chwili, w której ujrzą światło kinkietów sali radnej. Rady jakby to nic nie obchodziło, a tymczasem organa powołane wymierzają ponownie (na rok 1902) podatek niewłaściwie, zaległości figurują w księgach coraz większe, maszyna egzekucyjna puszczona w ruch. Jak słyszeliśmy, rekursa te utknęły w sekcji finansowej. Możeby p. prezydent sprawę zbadał i przynaglił opieszałych, bo wobec „schimmla" ustawowego, że „rekurs nie wstrzymuje egzekucji", setkom i tysiącom obywateli można opieszałością tą wyrządzić nieobliczalne szkody, nie dające się naprawić krzywdy.

Nieobsadzanie posad. Otrzymaliśmy wczoraj list, w którym interesowani żalą się, że nie mogą się doczekać rozstrzygnięcia konkursu, jaki jeszcze w styczniu br. upłynął, a dotyczył opróżnionych dawno kilku posad urzędników manipulacyjnych w magistracie lwowskim. Sprawa ta była nam znaną, dla tem większej jednak pewności, zasięgnęliśmy informacji u źródła i przekonaliśmy się, że istotnie dziwnie obojętną jest rada miejska na to, kim magistrat pracuje, a raczej czego mu z jej winy niedostaje. Mianowicie, co do posad manipulacyjnych, wakują od niespełna roku dwie posady komisarzy manipulacyjnych w randze X klasy i cztery oficjałów manipulacyjnych w XI klasie rangi. Termin konkursu skończył się w styczniu, a gdy wnioski nominacyjne przygotowano, poczęły się chwiać losy biura egzekucyjnego — i oto sprawa przeciągnęła się; sześciu urzędników brakowało i brakuje. Wprawdzie obecnie sprawa obsadzenia tych posad przeszła już wstępne instancje i wnet przyjdzie na porządek rady miejskiej, jednakże rada bywa od pewnego czasu tak zajęta obradami jawnemi, że na tajne, na których załatwia nominacje, ciągle nie znajduje czasu. Dodać zaś trzeba, że podań o owe sześć posad wpłynęło aż 41, zatem 41 ludzi pozostaje rok w niepewności o los swój i swych rodzin. Zanim wogóle nastąpi reforma sposobu mianowań w magistracie, rada miejska powinna już raz postanowić, że nie będzie zwlekaniem w nieskończoność zniechęcała urzędników do służby.

Nowa firma krawiecka. Ubiegłej soboty poświęcił O. Korsyn, karmelita, nowo otworzony zakład krawiecki przy ulicy Teatralnej l. 7. Właścicielem jego jest p. Włodzimierz Szczerba, długoletni zastępca firmy Z. Frydmana. P. Szczerba skończył szkołę kroju w Wiedniu, a następnie pracował jako przykrawacz za granicą, w firmach pierwszorzędnych; niewątpliwie więc pomiędzy szereg tych przemysłowców, którzy fachową wiedzę powoli, ale skutecznie wypierają u nas obcokrajowy przemysł.

Kradzież sreber. Pani Aleksandra Krzyżanowska, właścicielka realności pod 11 a przy ulicy Żulińskiego, wyjeżdżając przed kilku tygodniami do kąpiel, pozostawiła klucze od swojego pomieszkania u stróża kamienicy. Kiedy wróciła, zastała w mieszkaniu wszystko w porządku, prócz tego, że zabrakło jej z kredensu srebra, ogólnej wartości na przeszło 100 koron.

Zniesiony wyrok śmierci. Trybunał kasacyjny w Wiedniu zniósł wyrok śmierci, wydany przez lwowski sąd przysięgłych w dniu 6 maja b. r., na niejakiego Kokotkę, włościanina z Zawiszni. Kokotka oskarżony był o zamordowanie rodziny karczmarza Deutscha, jego żony i córki. Na rekurs wniesiony przez dra Zygmunta Lisiewicza, trybunał kasacyjny wyrok śmierci zniósł i zarządził nową rozprawę.

Wycieczka włościan do Krakowa. Za przykładem, jaki dał p. Obertyński z Odnowa, organizując przed paru miesiącami pierwszą zbiorową wycieczkę włościan do Krakowa, idą już i Koła Towarzystwa Szkoły ludowej. Staraniem dwu takich kół miejscowych w Przemyślanach i Glinianach, odbyła się w dniach od 23 do 27 sierpnia b. r. wycieczka zbiorowa do Krakowa i Kalwarji Zebrzydowskiej. Uczestniczyło w niej około 90 osób z ludu, mieszczan i rzemieślników. Wrażenie po powrocie odnieśli biorący udział w wycieczce niezatarte. I inne koła na prowincji winne się zakrzątnąć około urządzania wycieczek takich, które przez budzenie ducha narodowego, są potężnym cywilizacyjnym czynnikiem.

Parcelacja z funduszów publicznych. Wspólnymi funduszami, t. j. krajowym i państwowym, zakupioną została wieś Zielona, w powiecie husiatyńskim, dla włościan zielenieckich i obszar jej ma być rozparcelowany. Koszt kupna wynosił 150 000 koron, z czego 100 000 koron pokryło państwo, a 50 000 koron kraj. Dla rozdziału gruntu pomiędzy włościan przeznaczony ze strony namiestnictwa starosta Hołodyński, ze strony wydziału krajowego p. Glidziuk. Podział ma nastąpić przy końcu b. m.

Zmiany w redakcji „Diła". Naczelny redaktor *Diła*, dr. Ochrymowicz, ustępuje z redakcji i otwiera kancelarję adwokacką, redakcję zaś obejmuje dotychczasowy współpracownik tego dziennika dr. Eugeniusz Lewicki.

Manifest za nowym strejkiem. Już nie doniesienia osób prywatnych, ale otwarte wyznanie organu narodowego komitetu *Diła* potwierdza, że Rusini przygotowują nowy strejk rolniczy na najbliższą przyszłość. W dzisiejszym numerze tego dziennika znajdujemy artykuł wstępny, wyjaśniający cel dotychczasowej agitacji narodowego komitetu, oraz ustanawiający program na przyszłość. Narodowy komitet — jak stwierdza *Diło* — ma w sprawie strejków dwa cele. Pierwszy, to poprawa bytu ruskiego chłopa, drugi zaś — zniszczenie polskiej własności wielkiej. Strona ekonomiczna jest właściwie środkiem. „Wyszkolony na strejku włościanin, potrafi upomnieć się o swe prawa narodowe i polityczne"... „Musimy — woła *Diło* — przygotować się na bój wielki, a rozstrzygający, na bój legalny, a pewny: na ogólny bojkot wielkiej posiadłości!" — Artykuł kończy się następującym manifestem:

„Wszyscy, narodowo uświadomieni, Rusini powinni każdy strejk chłopów przeciw swemu dziedzicowi uważać za walkę narodową, powinni przeto strejk ten wspierać, agitować za nim, a ewentualnie zająć się ofiarami strejku. Przedewszystkiem zaś wszystkie żywioły naszego społeczeństwa, które uczestniczą w naszym ruchu narodowym, powinny teraz wdrażać jak najbardziej intenzywną propagandę za strejkiem rolnym i za bojkotem politycznym i dążyć do tego, ażeby taki bojkot rozpoczął się jak najrychlej, aby był powszechnym i aby przyniósł pozytywne korzyści!"

Manifest ten zamieszcza *Diło* w wydaniu z 18 bm. Nr. 199.

Zgromadzenie moskalofilskie. W dniu 16 b. m. odbyło się w Samborze doroczne walne zgromadzenie członków moskalofilskiego stowarzyszenia im. Kaczkowskiego. Z zebraniem połączono uroczystość uczczenia pamięci Kaczkowskiego przed domem, w którym niegdyś w Samborze mieszkał. O przebiegu zgromadzenia dzienniki ruskie zamieszczają sprawozdania bardzo sprzeczne. *Hałyczanin* twierdzi, że uczestników było przeszło 3000, a samych księży do 300; tymczasem *Diło* utrzymuje, iż zebrała się garstka księży, sztab lwowskich matadorów, 50—60 chłopów i kwiat moskalofilskiej młodzieży. *Hałyczanin* unosi się nad mnogością włościan, *Diło* znowu powiada, że sztabowcy ubolewali głośno nad niezwykle szczupłą liczbą chłopów na zebraniu. Obok sprawozdań administracyjnych i przemówień w duchu moskalofilskim, zgromadzenie zajmowało się wyborem członków nowego wydziału. Przyszło przytem do wielkiej awantury pomiędzy zgromadzonymi, wśród których zarysowały się dwie frakcje: starych moskalofilów i młodych. Ci ostatni wystąpili przeciw obecnemu prezesowi towarzystwa, p. Didyckiemu, jako staremu i zniedołężniałemu, który już nie potrafi kierować instytucją. Mówcą „młodych" był osławiony Wergun z Wiednia. Natomiast „starzy" bronili obecnego kierunku. W głosowaniu utrzymał się dawny zarząd, z p. Didyckim na czele, ku wielkiemu rozgoryczeniu opozycjonistów.

„Króliki" polskie się mnożą! Trojaczki, dwóch chłopców i dziewczynkę, powiła żona górnika, Karola Wieduchy, w Przyszowicach na Śląsku.

Piękna sukcesja. Sądy amerykańskie rozstrzygać będą wkrótce nadzwyczaj skomplikowany proces o sukcesję, wynoszącą ni mniej, ni więcej, tylko 15 miljonów dolarów. Historja tej sprawy jest następująca. Przed kilkunastu laty opuścił Austrję niejaki Müller, pozostawiając w kraju żonę i dzieci. Sam zaś udał się do Ameryki. Przez wiele lat tułał on się tam z miejsca na miejsce, nie mogąc nigdzie znaleźć stałego zarobku. Otrzymawszy wreszcie kawałek gruntu na własność, zaczął się tam budować, śmierć jednak przerwała dalszą pracę. Wkrótce potem grunt oddano we władanie pewnego księdza, któremu zmarły był winien 500 dolarów. Ale w tym właśnie czasie zwrócono uwagę na teren, będący niegdyś własnością Müllera i po uskutecznieniu pewnych poszukiwań, przekonano się, że kryją się tam olbrzymie bogactwa w pokładach złota. Znaleźli się zaraz przedsiębiorcy, którzy odszukali w Austrji rodzinę zmarłego Müllera i zaproponowali nabycie tego kawałka ziemi za sumę 15 miljonów dolarów. Okazało się jednak przy zawieraniu umowy, że i ksiądz, będący niegdyś wierzycielem Müllera, również uważa się za prawowitego pana pozostałego po nim gruntu. Sprawa zatem oparła się o sądy, które wkrótce mają już ją rozstrzygnąć.

107 lat liczy staruszka, przebywająca w domu przytułku w Peszcie. „Matuzalka" nie potrafi już się podnieść z pościeli i wymaga najstaranniejszego doglądania. Kilka dni temu, gdy jeden z dziennikarzy miejscowych ją odwiedził, „Matka Rainer", jak ją ogólnie zowią, wielce uradowała się z „zaszczytnych" dla niej odwiedzin i z wesołym uśmiechem wyciągnęła doń rękę. Włosy gęste, okalające jej twarz siwe, lecz bynajmniej nie zupełnie białe, natomiast oblicze zupełnie zapadłe i wychudzone, a skutkiem bezzębności, broda znacznie naprzód wysunięta. Z oczu rozwartych szeroko jak dziecka, spoziera silna jeszcze chęć do życia. Ojciec, majster kołodziejski, zginął w czasie wojen napoleońskich. Sierotami, w liczbie sześciorga, zajął się wuj, nadworny szewc arcyksięcia Józefa, palatyna węgierskiego. Staruszka spędziła życie w stanie panieńskim. Zapytana o przyczynę, oświadcza: Nie byłam ni bogata, ni ładna, a nadto napatrzyłam się u zamężnych przyjaciółek na tyle nędzy i biedy. Tak, tak, ciągnęła dalej, widziałam dużo nieszczęścia: powodzie i rok czterdziesty ósmy i dwa duże pogrzeby. — Co za pogrzeby? — No, Deaka i Andrassego. — Staruszka od lat siedmiu przebywa w przytułku i bardzo czuje się zadowolona. Jako całe pożywienie jada zupy, owoce duszone z cukrem i dwa razy na dzień po filiżance kawy.

Z kraju.

Mielec. (*Jesienne wyścigi cyklistów*). Oddział kolarzy towarzystwa gimnastycznego „Sokół" w Mielcu, urządza dnia 5 października b. r. wyścigi cyklistów galicyjskich na drodze krajowej Mielec-Tarnobrzeg. Ze względu na nadzwyczaj dobry stan dróg w tych stronach, spodziewanym jest liczny zjazd drużyn kolarzy.

Sanok (*Pożar*). W gminie Pielni spłonęło w ubiegłą niedzielę po południu 13 zagród włościańskich, stodoła plebańska i duża szopa na obszarze dworskim, napełniona zbożem. Dalszemu szerzeniu się ognia przeszkodził jeden tren tutejszej straży pożarnej, który w godzinę po wybuchu ognia znalazł się na miejscu pożaru, przebywszy półtoramilową drogę. Szkoda jest bardzo znaczna i tylko na małą stosunkowo kwotę była ubezpieczoną. Przyczyna powstania ognia niewiadoma.

Stanisławów. (*Pożar*). W Uhrynowie górnym spłonęło w tych dniach pięć zagród włościańskich, wraz z nagromadzonymi, tegorocznymi zapasami zboża. Ogólna szkoda wynosi około 3000 koron i była ubezpieczona. Przyczyna powstania pożaru niewiadoma.

Tłuste. (*Odkrycie zbrodniarzy*). Dzięki energji komendanta posterunku żandarmerji, p. Franciszka Jędzika, wykryto zbrodniarzy, operujących przez dłuższy czas w naszem miasteczku, a to w osobach Wiktora Smotyły i Justyna Buraka. W nocy dnia 13 b. m. złapali Wiktor Smotyła i Justyn Burak, powracającego z robót kolejowych na Węgrzech, tutejszego mieszkańca Stefana Smotyłę; dowiedziawszy się, że ten, wracając z robót, posiada kilkadziesiąt koron, zaprosili go do szynku, napiwszy się, kazali Stefanowi wszystko płacić, następnie zaprowadzili go do brata, obserwując, gdzie do snu się położy. Około północy przyszli ci dwaj złoczyńcy do stodoły, w której Stefan spał i t. zw. „dobnią", narzędziem używanem przy rąbaniu drzewa, dwa razy całą siłą śpiącego w głowę uderzyli, poczem śpiący na miejscu ducha wyzionął, a złoczyńcy zabrali mu całą gotówkę w kwocie 80 koron. Podejrzenie padło na owych dwóch złoczyńców. Przyaresztowani przyznali się do winy.

Żywiec. (*Zgromadzenie ludowe*). Posłowie Kubik i Stapiński zwołują na 21 b. m. do tutejszej sali ratuszowej zgromadzenie ludowe, na którem posłowie stronnictwa ludowego zdadzą sprawę z działalności swej w radzie państwa. Program zapowiada również rozprawę o położeniu ludu w Galicji i o szkodliwej działalności ks. Stojałowskiego.

* **Parnia dla pań,** otwartą została od dnia 5 bm. co piątku, w zakładzie kąpielowym św. Anny.

* **Z Colosseum.** Nowy program nastręcza tyle sposobności do szczerych pochwał, że doprawdy trudno zgodzić się na punkt kulminacyjny. Naszem zdaniem *clou* programu stanowią bezsprzecznie angielskie śpiewaczki i tancerki, zwane „Diamanty", w liczbie 8, których niezwykle melodyjny śpiew i z bajeczną elegancją wykonane tańce, pozostawiają po sobie nader korzystne wrażenie i budzą szczere oklaski. Niemniej podobają się wyborni parodyści operowi Ricardo i Benedetto, z których jeden w łudzącem przebraniu kobiecem budzi humor i podziw widzów. „Czarni" mają swoich reprezentantów w osobach Edgara Jonesa, ogromnie zdolnego murzyna muzykalnego z Ameryki i bardzo miłej „rasowej" mieszkanki Kuby, panny Veroniki, bardzo zręcznej tancerki. Z nowości wymienić jeszcze należy The Worthleys, młodą parę małżeńską, których istotnie dowcipnie skonstruowany automobil, ma dziwną, a ciekawą maszynerję, która pozwala go użyć jako fisharmoniki, stołu jadalnego no i wreszcie jest bardzo elegancką i lekką maszyną do przejażdżki. Marotta „deklamacja" przy akompanjamencie muzyki, wywołuje w audytorjum spazmy śmiechu.

* **Szkoła muzyczna M. Marek** obecnie Heleny Ottawowej, zostająca pod kierownictwem prof. Henryka Melcera-Szczawińskiego, przyjmuje wpisy w lokalu szkoły ulica Teatralna l. 16, między godziną 10—1 przed poł. i od 4—6 popołudniu. 1034

* **Posiedzenie lwowskiego Koła** Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych odbędzie się dziś w piątek dnia 19 września b. r. o godzinie pół do 7 wieczorem. Na porządku dziennym: Dr. Edward Sawicki: „Psychofizjologja dążenia, afektów i passji" (C. d.).

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników „Dziennika" na anons zamieszczony w jutrzejszym numerze firmy Singer et Comp, mającej na składzie najlepsze maszyny do szycia. Szczególniej godne uwagi maszyny do szycia, wykonywujące prześliczne hafty. 942

Zmarli:

W Sarajewie zmarł we środę w 51 roku życia dr. Jan Pawlikow, szef lekarz kolei bośniackich, radca sanitarny kraj. rządn. Zmarły był najstarszym synem ks. kanonika Pawlikowa, proboszcza „włoskiej cerkwi" we Lwowie i bratem znanej artystki-śpiewaczki p. Pawlikow Nowakowskiej.

Jan Fryderyk Somogyi, adjunkt kolei państw., zmarł w Krakowie w 38 r. życia.

W Sadogórze na Bukowinie zmarł Bogdan Lisieniecki, emer. nauczyciel i długoletni kierownik szkoły w Probużnej (pow. Husiatyn), w 71 r. życia.

W Kielcach zmarł Rafał Kujawski, adwokat przysięgły, współpracownik „Gazety sądowej", w 61 roku życia.

W Dolnej Tuzli, w Bośnji zmarła Marja z Seredyńskich Jakubowska, żona p. Franciszka Jakubowskiego, starosty tamtejszego. Zmarła była autorką licznych barwnych nowel i szkiców, opartych na tle życia bośniackiego, drukowanych w „Tygodniku Ilustrowanym", „Czasie" i innych dziennikach.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w piątek: „Piękna z Nowego Jorku", operetka w 3 aktach G. Kerker'a.

Jutro w sobotę: „Dramat Kaliny", 3 akty prozą przez Z. Kaweckiego.

W niedzielę popołudniu o godzinie $3\frac{1}{2}$: „Na Łyczakowie", obraz sceniczny ze śpiewami i tańcami w 4 aktach Fr. Domnika. — Wieczorem o godzinie 7: „Wdowa z Malabaru", operetka w 3 aktach Herve'go.

W poniedziałek: przedstawienia nie będzie.

We wtorek: po raz pierwszy, „Świat na opak", fantastyczno-burleskowa operetka w 5 odsłonach Krena'a i Lindau'a, z muzyką K. Kapellera.

W środę: „Świat na opak", operetka.

We czwartek: po raz pierwszy, „Krzyżacy", obraz dziejowy w 10 odsłonach, z powieści Henryka Sienkiewicza, przerobił na scenę Adolf Walewski.

W piątek: „Krzyżacy", obraz dziejowy.

W sobotę: „Świat na opak", operetka.

Obrazkowa część ostatniego numeru *Illustrirte Zeitung* niemal wyłącznie poświęcona jest reprodukcjom wybitniejszych dzieł Henryka Siemiradzkiego.

Dzienniczek bibljograficzny. Nowe książki otrzymane przez Księgarnię Polską we Lwowie.

Bartoszewicz dr. St.: Podręcznik chemji nieorganicznej z anal. i organ. w zakresie szkół tech. przemysłowych i handlowych, z 36 rysunkami, koron 4·30; Chełchowski St.: Jaka jest przyczyna tegorocznego nieurodzaju pszenicy? czyli o musze heskiej i jej szkodliwości, —·50; Dembińska B.: Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski. Tom I Polityka Rosji i Prus wobec Polski od początków sejmu czteroletniego do ogłoszenia konstytucji 3 maja 1788—1791 12·—; Estewa: Romans uczciwej kobiety, 2·—; Günther C.: Wstęp do nauki bakterjologji, ze szczególnem uwzględnieniem techniki mikroskopowej dla lekarzy i studentów, z 90 fotografiami, 5·20; Heinrich W.: Teorje i wyniki badań psychologicznych. Część I. Badania wrażeń zmysłowych, 4·70; Kisielewski J. A.: O teatrze japońskim, 1·50; Kowalewski prof. M.: Rozwój stosunków ekonomicznych w zachodniej Europie, 4·70; Koźmian St.: O działaniach i dziełach Bismarcka 6·—; Limanowski dr. B.: Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej, 6·—; Lubieński Wentworth T.: Kwestja polska w Rosji. List otwarty do rosyjskich publicystów, 1·—; Mach dr. prof. E.: O widzeniu. O symetrji, odczyty popularno naukowe, —·26; Majewski E.: Starożytni Słowianie na ziemiach dzisiejszej Germanji, —·64; Papée dr. F.: Święty Kazimierz, królewicz polski, —·30; Paprocka M.: Nowele, 2·60; Pecci, kardynał Yoachim, obecnie Leon XIII, papież: Złota książeczka o praktyce pokory 1·30; Piotrowski R.: Ucieczka z Syberji przez niego samego opowiedziana 2·—; Roztworowska Y.: Czy są nowe dla kobiet zadania, —·60; Rosja w przededniu XX stulecia. Z czwartego wydania oryginału rosyjskiego. 1·—; Struve dr. prof. H.: Zasadniczy charakter etyki, jako nauki, 1·20; Wolberg dr. L.: Jak żyć, aby być zdrowym. Poradnik hygieniczny, —·26; Tolwiński G.: O zaćmieniach słońca i księżyca, —·26; Zapolska G.: Przedpiekle, powieść, 4·—; Maskoff J.: Sybir, sztuka narodowa, 2·—.

Nowi ojcowie miasta.

Marceli Misiński.

Złotokołnierzowy sługa Temidy, przetransponowany na grzędy naszej autonomji miejskiej. Jako radca sądowy, bardzo tęgi urzędnik, słynie nadto wśród swych kolegów, jako jeden z najlepszych znawców kodeksu i procedury cywilnej. Obecnie urzęduje w gmachu pojezuickim zaraz w sąsiedztwie państwa JE. Korytowskiego.

Twarz podłużna o cerze władcy Malajczyków pokryta jest u góry czarnymi włosami, w reszcie swej pozostałości w tył bez pretensji podanymi. Nie duża broda lekko przyprószona, styka się z dwoma charakterystycznymi rysami zmarszczek, idących z obu stron ust ku kątom nosa. Mówi stale głosem lekko ochrypłym i nie marnując słów, tyle ich tylko używa, ile nie zbędnie ich potrzeba, aby jasno i dobitnie wyrazić swe myśli. Najchętniej milczy, choć ma dużo do powiedzenia. Przy całym swym wyglądzie „czarnego charakteru" pod lewą połą swego radcowskiego surduta kryje poprostu gołębie serce.

Karjerę swą rozpoczął sześcioletnią służbą przy fiskusie, gdzie nawet złożył egzamin adwokacki, w 1886 roku. Obecnie liczy 44 lat życia. Kiedy sądownictwo galicyjskie wkroczyło przed kilku laty w stadjum nowej procedury, był jednym z kierowników „kursu teoretycznego dla auskultantów sądowych." Przyozdobiono go za to orderem Franciszka Józefa. Od lat trzech pyta przy egzaminach sądowych na uniwersytecie. W tym charakterze jest tęsknie oczekiwany i poszukiwany przez kandydatów, gdyż nie męczy teorją i wygrzebanemi z rzymskiej jurysprudencji poglądami. Gdy się zapomni, pyta nowej z ordynacji egzekucyjnej i wtedy bywa zabójczym. Ale w tym sensie prawie się nie zapomina.

Do rady wszedł z listy miejskiej, która, pod presją faktów, nareszcie zdecydowała się w czasie ostatnich wyborów odświeżyć swoje grzędy nowemi nazwiskami. I wyszło jej to na zdrowie, a miastu z pewnością na pożytek. Radca Misiński „strzelnicoburcą" nie będzie i nie zarędzi się z pewnością niepotrzebnie w szeregi opozycji. W radzie, o ile go pozyskają dla dobrej sprawy, będzie sporą przeciwwagą wobec zakusów reakcji radykalnej, a jeszcze więcej partji łapczywo-żydowskiej.

Z obcych łamów.

Z okazji odbywający się obecnie w Galicji wschodniej procesów karnych przeciwko włościanom ruskim, którzy dopuścili się zaburzeń podczas strejku, stwierdza *Gaz. narod.* fakt, że podsądnymi są prawie wyłącznie ciemni chłopi, narzędzia w ręku agitatorów. Słusznie zatem wyraża wspomniane pismo zdziwienie, że nigdzie nie słyszano o postawieniu przed sąd i ukaraniu właściwych sprawców owych zaburzeń, tych niesumiennych agitatorów, którzy lud popchnęli do występków, do wykroczeń, do zaburzenia ładu społecznego. Jednego tylko p. Bociurkowa zawieszono w sędziowskiem urzędowaniu, inni agitatorowie, tak ci zawodowi, którzy od lat burzyli ludność, jak i ci amatorowie, czy dyletanci, którzy w gorącej chwili zaciągnęli się w szeregi agitatorów i pomagali rozpłomieniać zarzewie, wychodzą bezkarnie.

„I stało się to u nas niejako regułą, że narzędzia zaburzeń społecznych się karze, a właściwych instygatorów tych zaburzeń wolno się puszczać, a raczej nawet się ich nie ściga. Tak było po wszystkich ulicznych zaburzeniach we Lwowie, że przypominamy tylko krwawe zaburzenia na placu Strzeleckim, tak jest obecnie po strejku rolnym.

„Takiego stosowania sprawiedliwości wytłómaczyć sobie nie możemy. Widzimy tylko na każdym kroku ustępowanie przed agitatorami radykalizmu, cofanie się przed nimi, a nawet nie rzadko schlebianie im. Dzieje się to może dlatego, że oni są tymi, którzy urabiają opinję w najszerszych sferach, a że dziś niestety te najszersze, bo „głośne" sfery, nadają ton życiu publicznemu, że ulica stanowi o wszystkich kwestjach, niemal już nawet o kwestjach tyczących się literatury i sztuki, więc i tym, którzy [illegible] przewodzą, schlebia [illegible] ich kupuje. Przecież najrozmaitsze st[illegible] w kasach chorych pozwoliliśmy oddać [illegible]torom socjalizmu i z publicznych funduszów opłaca się ich „publiczną" działalność; przecież przyjmujemy [illegible] pośrednictwo przy każdej zapowiedzi strejku, pertraktujemy z nimi, zapraszamy ich do [illegible]itetów itd. A czynimy to nie z bezsilności, [illegible] z lenistwa, z chęci spokoju i wygody. [illegible] często, aby się okazać postępowymi, chociaż [illegible] to postęp najfałszywiej zrozumiany...

„Tolerować ich dłużej, bezkarnie puszczać im [illegible] podburzania do nowych gwałtów, znaczy przy[illegible] się do tego nieszczęścia.

„Oto znowu po Lwowie propagują wśród robotników budowlanych nowy strejk i grożą drugim czerwca — oto znowu po Galicji wschodniej uwija się ich mnóstwo pośród ludu, zachęcając do nowej borby z Lachem. A powołani do strzeżenia porządku publicznego, przez wymiar sprawiedliwości, działalność tę ich uważają tak długo za „obracającą się w granicach ustawy", dopokąd strzecha nie zapłonie, wówczas znowu jednak ich na gorącym uczynku podpalenia złapać nie umieją.

„Póki sprawiedliwość swej surowej ręki nie położy na zawodowych agitatorach i na tych dyletantach-agitatorach, którzy zachęceni powodzeniem pierwszych, idą w ich ślady, o spokoju w kraju myśleć nie można".

Nowy cios.

Telegraf przyniósł nam już zapowiedź nowego gwałtu, jakiego zamierza dokonać rząd pruski na Polakach w Poznańskiem. Władze szkolne tamtejsze postanowiły — jak to uczyniono swego czasu we Wrześni — odebrać w wyższym oddziale kilku szkół pod Gnieznem biednym, polskim, katolickim dzieciom naukę religji w języku ojczystym.

Prasa polska w zaborze pruskim zapisuje ze zgrozą i niepokojem tę nową zapowiedź ciężkiego ciosu i obawia się, by już pierwszy października nie był terminem tej nowej akcji Prusaków. „Cokolwiek nastąpi — pisze *Kur. Pozn.* — należy być gotowymi zawczasu..." — „Trzeba koniecznie, aby w razie grożącego skasowania polskiej nauki religji w jednym z oddziałów którejkolwiek szkoły, natychmiast miejscowi Polacy telegraficznie uprzedzili tak redakcje pism poznańskich i najbliższych prowincjonalnych, jak wybitniejsze osobistości polskie zamieszkałe w pobliżu... Natychmiast po odebraniu wiadomości, powinno się kilka lub w danym razie kilkanaście osób z inteligencji udać jak najspieszniej na miejsce, by tam być świadkami zachowania się ludności, oraz władzy pruskiej, żandarmskiej, szkolnej itd. wobec niej...

„Mówi się u nas wiele o legalności. I owszem, nie można o niej dosyć mówić, ale niechby społeczeństwo nasze nauczyło się wyzyskiwać wszystkie środki obrony, które legalnie można zastosować."

„Chodzi tu o sprawę katolicką, którą jako katolicy zajmować się mamy obowiązek.

„Posłowie nasi bronić będą polskiego katechizmu nadal w Berlinie, przed centrum stanie ze strony całej ludności polsko-katolickie[j]

stanowcze zapytanie, czy ostro i energicznie zechce ująć się za sprawą katolicką u nas ale to wszystko nie zwalnia każdego z nas z obowiązku, by urodziwszy się katolikiem i wierząc naprawdę, a nie dla pozorów tylko we wiarę świętą katolicką, sam pracował nad jej umocnieniem i obroną w naszym kraju."

Zaburzenia w Częstochowie.

O powodach i przebiegu zaburzeń w Częstochowie, o których już podaliśmy wiadomość, korespondent *Dziennika poznańskiego* donosi co następuje:

„W zeszły czwartek przekupka żydowska w Częstochowie sprzedała na targu jakiejś kobiecie, Polce i katoliczce, beczułkę owoców. Owoce były na wierzchu dobre, spodem zaś zupełnie zgniłe i nie do użycia. Pokrzywdzona kobieta spostrzegłszy, że została oszukaną, powróciła na targ i żądała energicznie zwrotu pieniędzy. Żądanie jej poparło kilka innych kobiet. Na to wypadli ze straganów żydzi i poturbowali ową kobietę tak silnie, że niebawem umarła.

Rozjątrzeni tem chrześcjanie, zebrali się w kupę, znieśli ze szczętem ów stragan z owocami, przytem rozbili kilka innych straganów, a żydów mocno poturbowali.

Wieść o tem rozniosła się szybko i dotarła do wiadomości całego miasta, przedewszystkiem do robotników fabrycznych. Stąd wytworzył się bardzo szybko ogólny ruch antiżydowski i zaczęto rozbijać wszystkie stragany i wszystkie handle żydowskie. Policja, nieliczna w mieście, zdołała obronić od rozbijania i rabowania tylko sklepy, położone w centralnym punkcie miasta. Inne, boczne części miasta pozostały bez opieki i uległy splądrowaniu. Prawie we wszystkich domach żydowskich, a także w synagodze, blisko kolei się znajdującej, wybito doszczętnie szyby.

Zarekwirowano natychmiast kilka sotni kozaków i batalion piechoty z Będzina. Wojsko przyszło na pomoc tej samej nocy, t. j. z czwartku na piątek. Ponieważ tłum, złożony z kilkuset ludzi niszczył dalej sklepy żydowskie i nie chciał ustąpić, wojsko dało ognia. Zabitych jest według urzędowych raportów, dwóch, rzeczywiście zaś czterech czy pięciu.

W piątek od samego rana panował już w mieście najzupełniejszy spokój."

Korespondent *Czasu* podaje następujący opis scen po strzałach do tłumu:

Odgłos salw wprawił tłumy we wściekłość, graniczącą z obłędem. Rozpoczęła się prawdziwa orgja. Rozbijano, niszczono, rabowano z przerażającą szybkością. Mówią, że niszczenie wielkich sklepów nie trwało dłużej, nad pół godziny.

Tłumy, oddaliwszy się od centrum rozruchów, mogły sobie folgować do woli, bo nikt im nie stawał na przeszkodzie. Oddział wojska, jakby oszołomiony tem, co sprawił na rynku, nie ruszył się z miejsca i nikt go nie wysłał na patrole. Policja zajęta była przeważnie rannymi, a stójkowi nie śmieli stawić oporu rozszalałej gawiedzi. Jeden ze stójkowych przylapał na ubeczu jakiegoś łobuza i prowadził go do aresztu; napotkała go gromada kilku ludzi, wyrwała aresztowanego, a policjanta pobiła kamieniami, tak, że padł na ziemię.

Gromady przeciągały ulicami, rabowały już tylko sklepy, odbijając pozapierane drzwi i okiennice. Mieszkaniom folgowano, wybijając tylko okna. Lokatorowie — chrześcjanie, wystawiali w oknach dla obrony obrazy, krzyże i posągi Matki Boskiej i świętych, oświecając je lampami i świecami. Okna nieoświetlone gruchotane były bez pardonu. W kilku sklepach podpalono poniszczone sprzęty i towary, oblane naftą. Gdy tłum pociągnął dalej, domownikom udało się ugasić zarzewie. Na szczęście w jednem tylko miejscu spłonęły ruchomości; dom uratowała straż pożarna. Gdyby nie to, mogłaby stanąć w ogniu cała dzielnica, zabudowana drewnianemi ruderami.

Od chwili strzałów trwały te zaburzenia na kilkunastu punktach dwie godziny — do godziny 10. Rozjamiętnienie tłumów ustępowało zwolna, a natomiast opanowała je jakaś straszna, spokojna zawziętość. Na przedmieściu Częstochówka, tuż pod Jasną Górą, tłum, który bocznemi ulicami przyciągnął ze Starej Częstochowy, zaczął niszczyć sklepy żydowskie. Kilku oo. Paulinów, wezwanych przez żydów, pospieszyło na dół, zaczęło uspokajać, przekonywać, zaklinać. Ludzie z szacunkiem pozdejmowali czapki, wysłuchali słów kapłańskich, ucałowali księży w ręce, oddalili się i zaczęli — rozbijać na nowo.

Około godziny 10 zaczęło się uspokajać. Przyczyniło się niewątpliwie do tego, prócz zmęczenia, także i to, że policja zaczęła wreszcie znowu działać i porozsyłała patrole po wszystkich rabowanych ulicach. Powoli tłum począł rozchodzić się do domów, a o godzinie 11 spokój zapanował nad strwożonem miastem.

Nazajutrz przybyła do Częstochowy sotnia kozaków i dwie roty piechoty.

Śledztwo rozpoczęło się w sobotę. Pierwsze badania prowadził gubernator piotrkowski. — Aresztowano ogółem 140 osób.

Zjazd prawników niemieckich.

Berlin 16 września.

Na zjeździe prawników niemieckich, który odbył się w tych dniach w Berlinie, poruszono wiele spraw żywotnych, interesujących szerszy ogół. Między innemi, na wniosek delegatów austrjackich, omawiano prawną stronę syndykatów i karteli, które, za przykładem „trustów" amerykańskich, poczynają się coraz więcej rozpowszechniać w Europie. Postanowiono, iż najbliższy zjazd zajmie się szczegółowem zbadaniem stosunku tych związków do istniejącego prawodawstwa.

Inna paląca kwestja, która znalazła się na porządku dziennym, to obrona czci. Współczesne prawodawstwo strzeże pilnie własności prywatnej. Wszelkie wykroczenia w tym kierunku karze surowo. Złodziej, kradnący choćby małowartościowy przedmiot, może być pewnym kary. Człowiek, nastający na honor bliźniego, najczęściej unika odpowiedzialności. A jednak honor jest klejnotem nierównie cenniejszym, niż wszelkie sumy pieniężne!

Ta luka w prawodawstwie — ta anomalja — wywołała inną anomalję. Człowiek, poszkodowany materjalnie, chroni się pod opiekę prawa. Pokrzywdzony na czci, zmuszony jest sam się bronić. Dopóki pod tym względem prawodawstwo nie zapewni ogółowi opieki, pojedynki będą usprawiedliwione.

Wychodząc z tej zasady, zjazd prawników niemieckich domagał się bardzo ostrych kar na występki przeciw dobrej sławie i czci bliźniego. W Anglji, gdzie tego rodzaju przestępstwa karane bywają nader wysokiemi grzywnami, pojedynkomanja niemal zupełnie ustała. Lecz grzywny te istotnie są olbrzymie — rujnując nieraz majątkowo oszczercę, dają tem samem poniekąd zadośćuczynienie spotwarzonemu.

Miljonowa defraudacja w Laenderbanku.

(*Telegr. „Dziennika Polsk."*).

Wiedeń 19 września. Defraudacja w Laenderbanku jest o wiele większą, niż wczoraj doniosła dyrekcja Laendenbanku w swym komunikacie. Urzędownie stwierdzonych cyfr jeszcze niema, ale na mieście mówią, że przeprowadzone szkontro wykazało brak czterech miljonów sześćsetczterdzieści tysięcy koron.

Powszechnie przypuszczają, iż Jellinek musiał mieć spólników, gdyż stanowisko jego było dość podrzędne i sam jeden bez porozumienia się z innymi nie mógłby był zdefraudować tak wysokiej sumy, nie zwróciwszy na to wcześnie uwagi.

Opowiadają też, iż w aferę tę wciągnięta jest inna jakaś instytucja finansowa, a mianowicie jedno z akcyjnych Towarzystw górniczych.

Za Jellinkiem rozesłano listy gończe i cały sztab prywatnych detektywów i agentów policyjnych szuka go, ale dotychczas nie znaleziono najmniejszego śladu, gdzieby się mógł ukryć. Widocznie spodziewając się każdej chwili wykrycia swych malwersacyj, oddawna już przygotował się do ucieczki i znikł bez śladu.

Na giełdzie wczoraj nic o tej defraudacji nie wiedziano, dziś rano była defraudacja ta powszechnym tematem rozmów giełdziarzy. — Odbije się ona także na kursie akcyj Laendenbanku.

Wszyscy nadzwyczaj ujemnie wyrażają się o kontroli w biurach Laenderbanku. Jellinek musiał popełniać defraudacje przez dłuższy czas, jeśli zdołał sprzeniewierzyć tak wysoką sumę. Gdyby zaś kontrola była surowszą, popełnienie tak wysokiej defraudacji byłoby niemożliwe.

Dotychczas stwierdzono, że Jellinek był bardzo zaangażowany na giełdzie, a nadto miał wielkie sumy umieszczone w rozmaitych Towarzystwa przemysłowych. Znaczną część zdefraudowanych przez niego pieniędzy pożarła zapewne giełda.

Wiedeń 19 września. Defraudacja Jellinka odbiła się już na dzisiejszej giełdzie na akcjach Laenderbanku. Wczoraj, gdy nie wiedziano o defraudacji, notowano przy zamknięciu giełdy akcje Laenderbanku po 424 50. Dziś na giełdzie porannej (godz. 10 m. 30) notowano je tylko po 408·50, a spodziewać się można jeszcze dalszego spadku kursu.

Wiedeń 19 września. O godz. 12 m. 30 notowano akcje Laenderbanku tylko po 401 k.

* * *

List gończy, rozesłany telegraficznie przez wiedeńską dyrekcję policji za miljonowym defraudantem Jellinkiem, brzmi:

„Edmund Jellinek, urzędnik bankowy, 34 lat, z Wiednia rodem, słusznego wzrostu, szczupły szatyn, o bladej, chudej twarzy, z ciemnym wąsem, nieco zezowaty, z blizną na czole, przy czytaniu używający cwikiera, umknął 18 września w południe, poszlakowany o znaczną defraudację. Przytrzymać!"

DEPESZE telegraficzne i telefoniczne.

Echo Wrześni.

Wiedeń 19 września. Dziś odbyła się w tutejszym sądzie rozprawa cywilna, o odszkodowanie, do której pośredni powód dały znane wypadki we Wrześni.

Sprawa ma się, jak następuje: Dyrektor teatru niemieckiego, p. Heller, zebrał był trupę niemiecką do występów w Królestwie polskiem i w Rosji.

Tymczasem zdarzyły się znane wypadki we Wrześni, a p. Heller otrzymał list z ostrzeżeniem, aby nie przyjeżdżał do Warszawy, gdyż może ze swą trupą narazić się na wielkie nieprzyjemności. P. Heller rozpuścił więc swoją trupę.

Jedna z artystek zaskarżyła p. Hellera o odszkodowanie w kwocie 6000 koron. Przed sądem okazał p. Heller listy ostrzegające z Warszawy o oświadczył, iż generalny intendant teatrów w Warszawie zakazał jego trupie występów w Warszawie, a nadto, że ostrzegano go także, aby nie udawał się do Rosji, gdyż i tam może spotkać się z demonstracjami przeciw swej trupie. Sąd atoli uznał, iż Heller mógł ze swą trupą dawać przedstawienia gdzieindziej i skazał go na zapłacenie 4000 koron.

Zwołanie parlamentu francuskiego.

Paryż 19 września. Powszechnie sądzą, że już zapadła decyzja co do zwołania izby deputowanych na 14 października. *Echo de Paris* twierdzi, że prezydentowi ministrów spieszno wnieść uzupełniający projekt do ustawy kongregacyjnej, według którego rząd mógłby jeszcze energiczniej postępować bez obawy interwencji sądów.

Mowy Pelletana.

Paryż 19 września. *Gaulois* donosi, że w izbie deputowanych pojawią się interpelacje w sprawie mów ministra Pelletana w Ajaccio i Bisercie.

Paryż 19 września. Niektóre dzienniki donoszą, że włoski ambasador oświadczył Delcassemu, że rząd włoski nie przywiązuje żadnego znaczenia do mowy Pelletana, gdyż twierdzenia tego ministra nie odpowiadają zapatrywaniom rządu francuskiego.

Powstanie na Haiti.

Nowy Jork 19 września. Depesza z Cap Haitien potwierdza dawniejsze doniesienie o klęsce, poniesionej przez generała Nord koło Limbe. Nieprzyjaciel maszeruje na Cap Haitien.

Kronika z ostatniej chwili.

Rada miejska zbierze się we wtorek na posiedzenie, wyłącznie w sprawie projektu nowego regulaminu czynności rady. Z tego można wnosić, że rada na serjo myśli o wielu pożądanych reformach, że zatem sprawa, która wlecze się od lat przeszło pięciu, teraz doczeka się przecie pomyślnego końca.

Złodziej hotelowy. Ajent policyjny Weitmann aresztował w hotelu Brennera, przy ulicy św. Stanisława, niejakiego Emila Michalskiego, zatrudnionego od dni kilku w banku związkowym, który w nocy skradł z pugilaresu śpiącego w tym samym pokoju kupca z Magierowa, Joela Röhra, kwotę 100 koron. Przy rewizji w kuferkach aresztowanego znaleziono mnóstwo, z innych kradzieży pochodzących przedmiotów. Michalskiego oddano do aresztów, znalezione zaś pod podszewką jego kapelusza skradzione pieniądze oddano Röhrowi.

Rewolucja na ul Cebulnej. Strażnik miejski, Górecki, utrzymujący porządek na ulicy Cebulnej, polecił przekupniowi owoców, Abrahamowi Schall, ustąpić się stąd wraz z wózkiem, gdy go zaś Schall nie usłuchał, Górecki zabrał ręczny wózek i kazał Schallowi iść ze sobą do komisarjatu. Wtedy Schall począł krzyczeć, zbiegli się żydzi i wózek odebrali. Nadto Schall odgrażał się, że Góreckiego zabije. Nie zabił jednak, gdyż w czas pojawiła się Góreckiemu odsiecz w postaci policjanta, który strażnika z opresji wybawił i miotającego się Schalla odstawił na inspekcję policyjną. Sprawę oddano sądowi karnemu, przed którym odpowiadać będzie Schall za gwałt publiczny, zadany pełniącemu służbę funkcjonarjuszowi miejskiemu.

Wojowniczy fryzjer. Pan Maurycy Glanzer, pomocnik handlowy, pragnąc wyglądać elegancko i podobać się swojej narzeczonej, udał się do fryzjera Adolfa Rothleina, przy ulicy Słonecznej i polecił mu przyprowadzić swoją fryzurę do porządku. Fryzjer ostrzygł mu ją więc, wyczesał, wypomadował, wyperfumował i z grzecznych ukłonem zdjął prześcieradło z pleców gościa, oświadczając, że fryzura już gotowa. Pan Glanzer obejrzał się w lustrze, a widząc, że fryzjer zrobił wszystko dobrze, sięgnął do pugilaręsu i wyjąwszy zeń 3 centy czyli 6 halerzy, położył je wspaniałomyślnie na wyciągniętej dłoni mistrza nożyc i brzytwy. Ten obruszył się, twierdząc, że zapłata ta jest zbyt niską, gość upewniał, że jest wystarczającą, od słów przyszło do wzajemnego szarpania się, w ciągu którego energiczny fryzjer podarł mu koszulę i utopił nożycz i w plecach gościa. Stacja ratunkowa, skonstatowała u skaleczonego: „ranę kłutą na plecach, nad łopatką lewą".

Dział ekonomiczny.

Wiedeń 19 września.

(*fr.*). Do tylu kłopotów, jakimi już obarczona jest giełda tutejsza, przybywa nowy. Oto z Pesztu nadchodzi wiadomość, że prezes gabinetu węgierskiego, p. Szell, zachorował i że z tego powodu dalsze rokowania ugodowe doznają może na dłuższy czas przerwy. Wiadomość, aczkolwiek niesprawdzona jeszcze, wywarła na giełdzie prawdziwie deprymujące wrażenie. Jakoż nastała zniżka ogólna, której nie próbowano nawet powstrzymać, gdyż wielu spekulantów z obawy, iż gotówka może przy samym końcu miesiąca znacznie podrożeć, nie czeka ultima, lecz już teraz likwiduje swe zobowiązania i sprzedaje swe papiery. Prąd zniżkowy nie oszczędził dziś nawet rent, których kurs do tej pory był prawie niewzruszony. Z akcyj kolejowych najbardziej spadły Statsbahny (o 6 koron), z bankowych austrjackie kredyty o $3^{3}/_{4}$ koron.

— **Budapeszt** 19 września. Budapeszteńska giełda zbożowa, z powodu święta narodowego, zamknięta.

Wiedeń 19 września. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów) Pszenica na jesień od 7 14 do 7 16, na wiosnę od 7 39 do 7 41 żyto na jesień od 6 46 do 6 47 na wiosnę od 6 61 do 6 63 kukurydza na sierpień-wrzesień od —·— do —·—, na wrzesień-październik od 5·98 do 6·—, na maj-czerwiec od —·— do —·— owies na jesień od 5 98 do 5 99, na wiosnę od —·— do — — rzepak na sierpień-wrzesień od 10 65 do 10 75, na wrzesień-październik od —·— do —·—, na styczeń-luty od —·— do —·— olej rzepakowy na wrzesień grudzień do . Usposobienie bardzo nieco silne. Pogoda zmienna.

Wiedeń 19 września. (Giełda południowa godzina 12 m. 45). Marki 117 11, Renta majowa 101 15 Węg renta koronowa 98 15, Akcje austr. zakl. kred. 686·50 Akcje węg. zakl. kred. 726 —, Akcje Anglobanku 278 —, Akcje Unionbanku 541· —, Akcje Bankvereinu 4?8 — Akcje Länderbanku 401 —, Akcje kolei państw. 713 50 Lombardy 78 25 Akcje kolei Elbethal 466·—, Akcje fabryki broni — —. Akcje tytoniowe 319 — Akcje Alpiny 373 50 Akcje Rima Muranji 498 50, Akcje praskiego Tow. żel. —, Losy tureckie 116 —, Ruble 253 25 Usposobienie silne.

Berlin 19 września. (Giełda poranna) Akcje kredytowe 216 40 Towarz. dyskontowe 187 50 Usposobienie spokojne.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 19 września 1902 r

HOTEL GEORGE. Hr. S. Komorowski z Siekierczyc. Hr. H. Stecki z Rosji. Hr. J Romerowa z Brzuchowic. Hr. M. Prigzini z Włoch. A. Sharpe z Londynu. W. Thanel z Sternbergu. S. Manesberger z Warszawy. W. Marmorosz z Karowa. J. Kaiser z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI. Hr. K. Krusenstern z Niemirowa, M. Waryński z Kijowa. Fr. Schmoll ze Szwajcarji. J Lipoczy z Budapesztu. W. Małecki z Turady. A Frenzel z Wrocławia. J. Neufeld z Wiednia. W. Burzyński z Buczacza. J. Golda z Kobylanki. L. Zupnik z Wiednia. J. Rużiczka z Satcu. Kużkowski z Kołomyi. J. Filipek z Wiednia. J. Fabryci z Sambora.

(80) N. A. LEJKIN.

W GOŚCINIE U TURKÓW

Humorystyczny opis podróży

małżonków Mikołaja Iwanowicza i Glafiry Semenówny Iwanowów przez ziemie słowiańskie do Konstantynopola.

Z oryginału rosyjskiego przełożył **Kl. K.**

— Nie pojmuję, jakim sposobem taka masa trzyma się i nie upadnie, — odezwała się Glafira Semenówna.

— A ile tu, proszę pani, było trzęsień ziemi! Mimo tego nie upadła! — dodał znowu przewodnik. — Z początku myślano, że ta kopuła z tego... jakże to się zowie?... Z pomeks... Taki najlżejszy kamień. Tego kościoła budowali dwa architektory: Antemias z Talesu i Izydor z Miles.

— Jak pan to wszystk pamiętasz, Atanazy Iwanyczu? — zapytała Glafira Semenówna.

— Nasz obowiązek, madame, pamiętać wszystko. Mnie tu uważają za pierwszy przewodnik. Najsampierwszy! — rzekł z dumą Nürenberg. — Ja znam nawet datę, kiedy otwarto Świętą Zofję. 24 grudnia 568 roku otwarto ją, a zaczęto budować w roku pięćset trzydziestym i pierwszym. Po raz pierwszy otwarto Zofję w 538 roku, ale po dwudziestu latach zawaliła się połowa kopuły. To już jest druga kopuła, którą Artenias i Izydor skończyli w roku 568. Rozkażcie tylko państwo, a opowiem wam wszystkiego szczegóły.

— Nie trzeba, nie trzeba. Po co? Powiesz, czy nie powiesz, my w każdym razie pamiętać nie będziemy, — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, poczem opuścił oczy i wielka poezja przestrzeni poczęła znikać.

Z kolumny do kolumny widać było przeciągnięte sztaby żelazne. Wisiały na nich tysiące olejnych lampek, bądź to grupami, w kształcie małych okrągłych żyrandoli, bądź też pojedynczo. Słudzy, siedząc na przenośnych drabinkach, czyścili i nalewali lampy olejem.

Posadzkę pod kopułą pokrywały wspaniałe kobierce. Jaśniejsze z nich nakryto płótnem Tu i owdzie widać było modlących się. Siedzieli oni, tureckim zwyczajem, na podgiętych nogach, przechyleni korpusem w tył i zatkawszy sobie uszy palcami, powtarzali słowa modlitwy szeptem. Na głowach mieli zawoje i fezy. Śniady Turek-młodzieniaszek z wąsikami, zaledwie dobywającymi się, odziany w kostjum europejski, ale w fezie na głowie i bez obuwia, siedział na nogach i z książki, która leżała przez nim na ławeczce, śpiewał wiersze koranu. Obok siedział brodaty, stary ulem, w ogromnym zawoju i w chałacie i od czasu do czasu poprawiał śpiewającego.

— To syn jakiegoś szambelana, lub baszy, uczy się u popa swej muzułmańskiej religji, — objaśnił Nürenberg, następnie zaprowadził małżonków przed gigantyczne kolumny i rzekł: Oto, ośm monolitów porfirowych... Przewieziono je tutaj ze świątyni Słońca.. Wstrzymajcie się państwo, wstrzymajcie, — zawołał, widząc, że małżonkowie, nie zwróciwszy na kolumny baczniejszej uwagi, kroczą dalej. — Jeszcze są kolumny. Ot, te... Zabrano je z innej świątyni pogańskiej, ze świątyni Diany Efezkiej.

Ale i na te cuda sztuki starożytnej małżonkowie niedbałym rzucili wzrokiem. Przystąpił do nich rudobrody jakiś chałaciarz w zawoju, uśmiechnął się, skłonił się w milczeniu po turecku i zachęcał, aby szli za nim w głąb, ku głównemu wyjściu.

— Pragnie wydrzeć bakszisz; o bakszisz mu chodzi, proszę państwa. Nie idźcie za nim, — zatrzymywał małżonków Nürenberg i począł swarzyć się po turecku z chałaciarzem. Małżonkowie jednak poszli za tym ostatnim.

Ten zatrzymał się naprzeciw głównego wejścia, wskazał ręką na ścianę i mlasnął językiem. Na ścianie pod arkadą, małżonkowie ujrzeli w półmroku dobrze jeszcze zachowane wyobrażenie Ducha Świętego w postaci gołębia. Chałaciarz wskazał na wizerunek, wyciągnął rękę i rzekł:

— Bakszisz, efendim!

— A co? Widzicie państwo? Wiecie teraz? — krzyknął Nürenberg. — Już szelma prosi o bakszisz. I po co? Ja sam pokażę wszystko. Lepiej od niego znam wszystkie zakątki Aja-Zofja.

Chałaciarz nic sobie nie robił z krzyku przewodnika. Uśmiechał się obleśnie i powtarzał: „Bakszisz, efendim".

Mikołaj Iwanowicz wetknął mu w kułak srebną dwupiastrówkę.

— Jeżeli państwo zechcecie opłacać się tutaj każdemu staremu djakowi, o, to wydacie dużo pieniędzy — rzekł z goryczą Nürenberg, i zaprowadził małżonków ku białej ścianie, na której można było rozeznać słaby odcisk dłoni z pięciu rozwartemi palcami.

— Kiedy wojsko tureckie zajęło Konstantynopol, — sułtan wjechał do Aja-Zofja na koniu po trupach nieszczęśliwego chrześcijanów i oto, tutaj, tej ściany dotknął zakrwawioną dłonią. To właśnie odbicie dłoni sułtańskiej. Łatwo ją rozeznać. Tutaj palce...

— Więc znamię zostało jeszcze z owego czasu? — pytała niedowierzająco Glafira Semenówna.

— Zostało, zostało — westchnął Nürenberg i uśmiechnął się złośliwie.

Tymczasem Mikołaj Iwanowicz uczynił już kilka kroków ku ołtarzowi i podziwiał dwie gigantyczne świece, które unosiły się po obu stronach ołtarza. Stanął zdumiony i kiwnął na żonę.

— Glasza! Popatrzaj, co to za świece!

— Alboż to świece? To chyba kolumny — odrzekła Glafira Semenówna

— Świece, świece, madame — dodał Nürenberg. — I proszę sobie wyobrazić, że z czystego wosku.

Były to rzeczywiście świece niezwykłe. Każda miała wysokości cztery, lub pięć sążni, a objętość taką, że dwaj ludzie z trudnością zdołaliby objąć ją rękami dokoła.

— No, myślę sobie, że w naszej kochanej Rosji nie znalazł się jeszcze kupiec, któryby takie świece wystawił — odezwał się sentencjonalnie Mikołaj Iwanowicz. — Powiedz-że mi, Nürenberg, jak je zaświecają?

— O, jest w tym celu osobna drabina. Ale świece te palą się tylko na największe uroczystości.

— Czy to być może, ażeby one były z wosku całe? Ja myślę, że tam wewnątrz mus być drzewo — mówiła Glafira Semenówna.

— Ach, co pani mówi! W meczeta muzułmańskiego, według przepisów zakonu, może goreć tylko prawdziwy wosk, albo oliwa. Innego materjału — ani, ani!

I Nürenberg potrząsł rękami zaprzeczająco.

— Może pragniecie państwo oglądać piękne dywany tureckie? Tutaj na posadzce, nakryte płótnem, leżą kobierce, co są warte dziesięć, piętnaście i dwadzieścia tysięcy piastrów.

Mikołaj Iwanowicz spojrzał na żonę i odpowiedział:

— E, co tam dywany! Bóg z nimi! Widzieliśmy meczet i — dość z nas.

Potwierdziła to samo Glafira Semenówna, dodając:

— Wszak my — nie Anglicy. Nie potrzebujemy oglądać każdej cegiełki na każdej kolumnie, ani też rachować płyt posadzki. My sobie tak... potrosze... powierzchu... Widzieliśmy Zofję zewnątrz, widzieliśmy ją wewnątrz i — dosyć.. którędy wyjście?

Zwrócili się ku wyjściu. Podbiegł jeszcze jakiś chałaciarz i zachęcał tajemniczo, aby szli za nim, ale małżonkowie już nie zwrócili nań uwagi. W powrocie Mikołaj Iwanowicz niósł już oba pantofle w rękach, ale nikt jakoś nie gorszył się tym liberalizmem.

— No, świece naprawdę zadziwiające! Niesłychane świece! Car-świece! Ot, co ciekawe: w jaki sposób takie świece odlano? — powtarzał kilkakrotnie.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

124

SZLACHETNY MŚCICIEL.

Powieść z francuskiego.

Pozostało tylko czekać, oddać się łasce boskiej...

Regina uklękła przy łóżku i modliła się...

VII.

In extremis.

Wybiła północ na małym zegarze, stojącym nad kominkiem.

Regina pochyliła się nad łóżkiem, słuchała chwilę i zauważyła, że oddech chorej zaledwie dosłyszalny przed chwilą, zrobił się głośny i szybki, na policzki wystąpiła czerwoność, powieki drżały nerwowo.

Pan Langlais także spostrzegł tę zmianę, a jednocześnie budzącą się świadomość Klaruni. Pochylony nad łóżkiem słuchał, chcąc otrzymać spojrzenie pierwsze lub ostatnie westchnienie.

Była to chwila uroczysta.

Śmierć jeszcze nie przyszła. Czerwoność policzków gasła stopniowo, lecz pozostawiła na twarzy kolor życia, oddech robił się regularny i wolno, jak dziecko ze snu się budzące, Klara otworzyła oczy.

Pan Langlais w nadmiarze radości chciał objąć córkę i okryć ją pocałunkami, kiedy Regina odgadując jego zamiar, położyła palec na ustach i powstrzymała spojrzeniem rozkazującem.

Potem sama przysunęła się i cicho, ale wyraźnie zapytała Klaruni:

— Jak się teraz czujesz, najdroższa?

Klara poruszyła ustami bez wydania głosu, bezbrzeżny smutek odbił się w jej spojrzeniu.

— Nie martw się, najdroższa — rzekła Regina — osłabienie przeszkadza ci mówić, lecz to prędko minie. Potrzeba tylko spokoju... zaśnij, Klaruniu ukochana, zamknij oczy...

Klarunia znowu spojrzała ze smutkiem.

Regina odgadła, że chodzi o Piotra.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— Jutro go zobaczysz, powiedział, że przyjedzie rano...

Błogi spokój rozlał się na twarzy chorej, uśmiechnęła się do ojca i przymknęła powieki.

I znowu minęło kilka godzin, szary dzień zaczął świtać.

W tej chwili Klarunia obudziła się, próbowała mówić, lecz żadne słowo nie doszło uszu Reginy.

Wtedy z uśmiechem rezygnacji, spojrzała na zegar.

Regina zrozumiała.

— Czwarta godzina, Klaruniu — rzekła.— Cierpliwości, zaśnij jeszcze, on przyjdzie.

Nakoniec rozwidniło się zupełnie, a z jasnością dnia zdawało się, że nadzieja w serca wstępuje.

Regina poczuła nową energię, podniosła się, zajęła uporządkowaniem pokoju i staraniem jakiego chora wymagała.

Doktor przyszedł o siódmej godzinie, zbadał znowu Klarunię i zaraz wyszedł razem z Reginą, gdyż bankier nie spostrzegł nawet jego bytności.

Regina nie śmiała pytać, patrzyła tylko z boleścią i w końcu wymówiła z płaczem:

— Niema już nadziei doktorze?

Potrząsnął głową tylko.

Ona zbladła nagle, zachwiała się i musiała oprzeć się o fotel.

— Odwagi, dziecko — szepnął doktor — dużo ci jej będzie trzeba... Pomyśl o wuju, o twojej siostrze ciotecznej, która mogłaby spostrzedz twoją boleść. Osłodź jej ostatnie chwile, zastąp matkę.

— Jak długo jeszcze? — zapytała Regina, otrząsając się ze słabości.

— Do wieczora najdłużej — odpowiedział lekarz.

— Dziękuję, doktorze, potrafię spełnić moją powinność.

Powróciła do pokoju chorej, którą zastała prawie siedzącą, obłożoną poduszkami.

Na ten widok Regina cofnęła się, uwierzyła w cud, lecz spostrzegła ją Klara i z anielskim uśmiechem przywołała.

— Widzisz, ukochana — rzekła — lepiej mi niby, mogę jeszcze mówić do tatusia, mogę podziękować za wszystko, coś dla mnie zrobiła.

Regina chciała protestować, lecz Klarunia nie pozwoliła.

— Nie mów nic, nie przerywaj, czuję, że chwile moje policzone. Tak, Regino, dziękuję ci za twoje, starania, za poświęcenie, za przyjaźń i opiekę jakiemi otaczałaś całe moje życie, za twoje ostatnie poświęcenie, tak godne ciebie... Zastanawiałam się w nocy, kiedy sądziliście, że śpię, a zbliżająca się śmierć na dużo rzeczy otworzyła mi oczy. Zrozumiałam, że bezwiednie zabierałam ci szczęście... I szczęśliwa jestem, umierając z myślą, że wy będziecie szczęśliwi, gdyż wyście dla siebie stworzeni, wy się kochacie.

Regina nadludzkim wysiłkiem łzy powstrzymała i zaledwie zdołała wymówić:

— Klaruniu, nie mów tak — on twój jest, przysięgam...

— A więc teraz — dodała Klarunia — ja ci go daję. Przyrzeknij, że będziesz jego żoną. Przyrzeknij — błagała, widząc, że Regina nie odpowiadała — przyrzeknij, żebym umarła spokojna.

Regina złamana bólem, skinęła głową i wybuchnęła płaczem.

I teraz Klara ją pocieszała. Przyciągnęła do siebie piękną głowę kuzynki i mówiła:

— Regino moja najdroższa, nie płacz, za bardzo mnie to boli. Zachowaj w pamięci twoją Klarunię, która za dobroć byłaby zapłaciła strasznym czynem i która dziękuje Bogu, że nie dał jej złamać twojego serca. W dodatku, najmilsza, o dwie rzeczy mam cię jeszcze prosić. Najpierw mów czasem z Piotrem o mnie, jak już mnie nie będzie i potem...

Głos chorej załamał się nagle.

Regina podniosła się, wyrzucając sobie słabość, bojąc się wzruszenia dla Klary.

— Mów, aniele — rzekła. — Zrobię wszystko, co będziesz chciała. Proszę, powiedz, czego pragniesz?

Klara, zarumieniona, podniosła na kuzynkę piękne, błękitne oczy.

— Regino, umierałabym nieskończenie szczęśliwą, gdybym była jego żoną.

— Będziesz, najdroższa, ja ci to przyrzekam — rzekła Regina uroczyście.

Wtedy Klara wyczerpana rozmową, opadła na poduszki, blada ze zmęczenia, lecz jaśniejąca radością.

Regina chciała naradzić się z panem Langlais, lecz biedny człowiek niezdolny był myśleć, ani mówić. Skinął głową na znak, że zgadza się na wszystko.

Regina nie radziła się już nikogo. Kazała przynieść kwiatów z ogrodu zimowego i ubrała niemi cały pokój.

Klara w cichości wodziła oczami za kuzynką i tkliwie się do niej uśmiechała.

O dziesiątej godzinie, służący zawiadomił Reginę, że Piotr przyszedł, ona zaś zbliżyła się do łóżka mówiąc cicho:

— Przyszedł. Chcesz go zaraz widzieć?

Dziewczyna zaróżowiła się, lecz ze wzruszenia nie mogła słowa wymówić.

Spojrzała tylko, a Regina zrozumiała i poszła przyprowadzić młodego człowieka.

— Piotrze, spokoju przedewszystkiem — prosiła, — najmniejsze wzruszenie może ją zabić.

— A ty, Regino — odezwał się, widząc jak te kilka dni zmieniły piękną twarzyczkę — ty miej litość nad sobą. Bierzesz ciężar nad siły...

Lecz ona nakazała mu milczenie ruchem rozkazującym, podczas gdy grube łzy, których nie mogła powstrzymać, spływały wolno po twarzy, a krzyk rozpaczy z ust się wydzierał:

— Moja Klarunia! Moja Klarunia!

Ujęła go za rękę i pociągnęła go za rękę Klara zobaczywszy Piotra zasłabła; lecz zaraz przyszła do siebie i wyciągnęła do niego rękę prawą, lewą bowiem trzymał pan Langlais.

Nieszczęśliwy ojciec siedział bez ruchu, patrząc tylko na córkę.

Zdawał się nie widzieć wejścia Piotra, tak samo, jak nie widział przygotowań Reginy.

Młody człowiek zbliżył się, wziął małą przejrzystą rączkę i osunąwszy się na kolana, przycisnął ją do ust.

Następnie cicho, łagodnie, mówił jej do ucha słowa pełne czułości jak narzeczonej, a dziewczyna z uniesieniem i wdzięcznością słuchała bez wyrzutu sumienia, ponieważ wiedziała, że odejdzie z tego świata.

W końcu wszedł ksiądz. Klara z radością przyjęła ostatnie namaszczenie i skinęła, żeby wszyscy weszli.

Pierwszy zbliżył się Piotr, potem Regina, Leopold, Jan Gallois, potem służba, wszyscy, z którymi Klara chciała się pożegnać.

Następnie zwróciła się do Piotra i Reginy, połączyła ich ręce w swoich i ze spojrzeniem pełnem tkliwości:

— Nie mogę lepiej wam podziękować, jak oddając jedno drugiemu. Niech to będą wasze zaręczyny i niech moje ostatnie życzenie będzie wam talizmanem. Kochajcie się, myślcie czasem o mnie; ja o was nigdy nie zapomnę...

Przyciągnęła bliżej Reginę i szepnęła:

— Regino zaniesiesz mamie moje ostatnie pożegnanie. Powiesz, że ją kocham, i że umieram smutna bez jej pocałunku.

Regina nie mogła nic odpowiedzieć, spojrzała tylko z czułością. Wtedy umierająca wydała się spokojniejszą i głosem dosyć silnym, ażeby wszyscy słyszeli.

— Ojcze — rzekła do starego księdza — czy zechcesz nas teraz połączyć?

Piotr znów się zbliżył, ukląkł przy łóżku: Klarunia próbowała się podnieść lecz opadła na poduszki.

Regina usiadła przy niej, objęła silnemi rękami i oparła umierającą na piersiach swoich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny za redakcję: Adam Krajewski. Właściciele i wydawcy: Dr. Ostaszewski-Barański, Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.